

„Upiór w Operze”

*Mojemu staremu Jo,
który choć nie ma w sobie nic z upiора,
jest jednak jak Erik, Aniołem Muzyki.
Z całym oddaniem*

GASTON LEROUX

Słowo wstępne, gdzie autor opowiada, w jaki sposób zyskał pewność, że upiór Opery istniał naprawdę.

Upiór Opery istniał. Nie był on, jak w to długo wierzone, wytworem wyobraźni artystów, podejrzeniami dyrektorów, czy głupstwem zrodzonym we wrażliwych głowach młodych baletniczek, ich matek, bileterek, garderobianych czy dozorczyń. Nie, on istniał namacalnie, choć przywdział wszystkie zewnętrzne cechy upiора, a ściślej mówiąc, cienia.

Kiedy zacząłem wertować archiwa Narodowej Akademii Muzyki, uderzyła mnie przede wszystkim zbieżność wydarzeń przypisywanych upiорowi oraz pewnej tajemniczej, a zdumiewającej tragedii. I niebawem doszedłem do wniosku, że racjonalnie można chyba wyjaśnić jedno drugim.

Prawda docierała do mnie powoli, co krok natykałem się na zdarzenia zgoła niewytłumaczalne na pierwszy rzut oka. Miałem chęć zaprzestać tej wyczerpującej pracy. Zdobyłem jednak w końcu dowód na to, że nie myliły mnie przeczucia, kiedy upewniłem się, iż upiór Opery był czymś więcej niż tylko duchem.

Tego dnia spędziłem wiele godzin nad „Pamiętnikami dyrektora Opery” pióra nader sceptycznego Armanda Moncharmin, który niczego nie pojął podczas krótkiego zarządzania Operą, nawet gdy padł ofiarą zadziwiającej operacji finansowej dokonanej wewnątrz zamkniętej koperty.

Kiedy zdesperowany wychodziłem z biblioteki, spotkałem przemiłego administratora Akademii Muzyki, gawędzącego z rześkim i pełnym wdzięku staruszkim, nijakim panem Faure, tym samym, co prowadził śledztwo w sprawie Chagny'ego. od dawna go poszukiwałem, nie wiedząc że przebywał za granicą, skąd właśnie wrócił. Spędziliśmy razem cały wieczór. Faure jeszcze raz opowiedział mi wszystkie wydarzenia z owego okresu, wspominając przy okazji o pewnym Persie, którego uznał za nawiedzonego.

Ja z tą opinią się nie zgadzam, postanowiłem przeto Persa odszukać, co mi się w końcu udało.... On też dostarczył mi część dowodów, których autentyczność sprawdziłem w sposób miarodajny.

Zbieranie mojej dokumentacji zakończyło się w chwili, gdy w podziemiach gmachu opery dokonano niewiarygodnego odkrycia. Otóż podczas prac w piwnicach odkopano ludzki szkielet! A ja natychmiast zyskałem pewność, że to zwłoki upiора opery.

Oficjalnie utrzymuje się wprawdzie, iż to jedna z ofiar Komuny, ja jednak wiem, że nieszczęśnicy wtedy zmasakrowani w podziemiach Opery spoczywają w innej części piwnic, co stwierdziłem szukając ciała upiора. Ale o tym mowa będzie dalej...

I

Czy to upiór?

Tego wieczoru, gdy panowie Debienne i Poligny, ustępujący dyrektorowi paryskiej Opery, wydawali pożegnalne przedstawienie galowe, do garderoby znanej primabaleriny Sorelli wbiegło nagle kilka baletniczek wracających właśnie ze sceny. Powstało spore zamieszanie, jedne śmiały się sztucznie na całe gardło, inne pokrzykiwały lękliwie.

Sorelli, która pragnęła na chwilę choćby zostać sama, aby powtórzyć pożegnalną przemowę, z jaką niebawem miała wystąpić wobec dyrektorów, spojrzała z niezadowoleniem na ten tłumek, po czym zwróciła się do koleżanek z pytaniem o przyczynę niepokoju i rozgwaru. Mała Jammes – różowo-białe dziewczątko z zadartym nosem i oczami jak niezapominajki – odpowiedziała głosem drżącym, dławionym przerażeniem:

1 Upiór!

I zamknęła drzwi na klucz.

Garderoba Sorelli urządzona była z banalną elegancją. Wielka szafa z lustrem, kanapa, toaletka oraz parę krzeseł i foteli stanowiły jej umeblowanie. Na ścianach wisały pamiątkowe szkice i studia portretowe paru wybitniejszych malarzy. Jednakże dla małych baletniczek, mających wspólnie ubieralnię, gdzie spędzały czas na śpiewach, igraszkach z fryzjerami i garderobianymi, gdzie w oczekiwaniu na znak inspicjenta popijały piwo, rum i lemoniadę, garderoba ta była nieomal pałacową komnatą.

Sorelli była przesadna. Słyszając, że Jammes mówi o upiorze, drgnęła i rzekła:

1 Ty głuptasku!

Ponieważ jednak skłonna była wierzyć w upiory, a w upiора Opery w szczególności, zapragnęła natychmiast dokładniej się o wszystkim dowiedzieć.

2 Widziałas go? – zapytała.

3 Tak jak panią widzę! – odrzekła z jękiem mała Jammes, która nie mogąc ustać na nogach, opadła na fotel

Mała Giri zaś – wątła dziewczynka o kruczonych włosach, ciemnej cerze i bystrych oczach – dodała:

5 Jeśli to on, to jest bardzo brzydki!

6 O, tak! – przyświadczyły chórem tancerki.

I zaczęły mówić jedna przez drugą. Upiór ukazał im się w postaci mężczyzny w czarnym fraku, który nie wiadomo skąd wyłonił się przed nimi nagle w korytarzu. Pojawił się tak niespodzianie, jakby wyszedł ze ściany.

7 Ech! – odezwała się jedna z tancerek, która zachowała zimną krew – wy wszędzie widzicie upiory!

Od wielu miesięcy bowiem w Operze mówiono wciąż o upiorze w czarnym fraku, który jak cień snuł się po całym budynku nie odzywając się do nikogo. Nikt nie śmiał go zaczepić. Spostrzeżony, znikał natychmiast nie wiadomo jak i gdzie. Poruszał się bezgłośnie, ja na prawdziwego upiора przystało. Zaczęto się nawet śmiać i drwić z tej mary, odzianej jak światowiec lub karawaniarz. Niebawem jednak legenda o upiorze przybrała w całym balecie niesłychane rozmiary. Spotykały go rzekomo wszystkie baletnice i padały ofiarą jego czarów. I rychło nawet najwięksi dowcipnisie zaczęli odczuwać niepokój. Upiór, jeżeli nawet się nie pokazywał, ujawniał swą obecność lub bliskość dziwaczynami, a czasem złowrogimi znakami, za które powszechna niemal przesadność czyniła go odpowiedzialnym. Wszelkie wypadki, błahe częstokroć figle, zgubienie czegokolwiek – wszystko to miało się dziać z winy upiора Opery!

Lecz kto go właściwie widział? W Operze wszak spotkać można tyle czarnych fraków, których właściciele wcale nie są upiorami! Tyle że właściwością tego właśnie fraka było, że przyodziewał szkielet.

Tak przynajmniej mówiono.

No i oczywiście upiór miał trupa czaszkę.

Czy to wszystko należało brać na poważnie? Prawdą jest, iż pogłoska o szkielecie zrodziła się z opisu podanego przez Josepha Buquet, głównego maszynistę, który rzeczywiście widział upiora. Zetknął się z nim – trudno powiedzieć „nos w nos”, albowiem upiór nosa nie posiadał – na małych schodkach prowadzących do podscenia. Ujrzał go tylko na ułamek sekundy, gdyż upiór potem znikł, lecz zachował o nim niezatarte spojrzenie.

Oto jak Joseph Buquet opisywał upiora:

„Jest niesłychanie chudy, a czarny frak powiewa na szkielecie. Oczy ma głęboko osadzone, że niepodobna prawie rozróżnić nieruchomych źrenic, widać tylko dwa ciemne oczodoły. Skóra na kościach naciągnięta jest jak na bębnie i nie jest biała, lecz ohydnie żółta. Nos to ma taki, że nie widać go z profilu i właśnie *brak* tego nosa jest rzeczą okropną *do oglądania*. Nad czołem i przy uszach zwisają kosmyki włosów.”

Boquet na próżno starał się wtedy doścignąć dziwne zjawisko. Zniknęło bez śladu, jak zaczarowane.

Maszynista był człowiekiem poważnym, trzeźwym, pozbawionym wyobraźni. Opowieści tej słuchano w osłupieniu i z zaciekawieniem i natychmiast znalazły się osoby, co rzekomo również widziały czarny frak z trupią czaszką. Ludzie rozsądniejsi, do których dotarły wiadomości o spotkaniu z upiorem, twierdzili zrazu, że to jakiś figiel, lecz niedługo potem zaszedł kolejno szereg wypadków tak dziwnych i niewytłumaczalnych, że zaniepokoiły nawet największych niedowiarków.

Na przykład pewnego wieczoru dyżurny straży ogniowej – złożonej na ogół z ludzi odważnych i nie bojących się byle czego – zszedł do podscenia dla dokonania codziennego obchodu, przy czym zapuścił się nieco dalej niż zwykle. Po chwili ukazał się bład, drżący i bliski omdlenia. I dlaczegoż to? Ponieważ ujrzał zmierzającą w jego stronę *głowę ognista pozbawioną reszty ciała*.

Na wieść o tym w balecie zapanowała konsternacja. Tym bardziej, że ta głowa ognista nie odpowiadała zupełnie opisowi, jaki podał Joseph Buquet. Zawyrokowano więc, iż upiór posiada kilka głów, które zmienia wedle upodobania. I baletnice wymyśliły, że zagraża im wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli bowiem trwoga ogarnąć mogła nawet strażaka, to całkiem usprawiedliwione było ich przerażenie sprawiające, że co sił w drobnych nóżkach uciekały, gdy tylko się znalazły przed ziejącym ciemnością korytarzem.

Aby więc w miarę możliwości zabezpieczyć gmach, gdzie tak okropne rzeczy się działy, nazajutrz po wypadku ze strażakiem Sorelli osobiście, w otoczeniu zespołu tancerek, złożyła na stole w łoży odźwiernego podkowę, której wszyscy – naturalnie z wyjątkiem przybywających do Opery widzów – musieli dotykać, nim weszli na pierwszy stopień schodów. W przeciwnym razie mogli łatwo paść ofiarą tajemnej siły mającej we władaniu cały gmach, od podziemi aż pod strych.

Wszystko to daje pogląd na stan ducha tancerek owego wieczoru, kiedy wraz z nimi weszliśmy do garderoby Sorelli.

Po słowach małej Jammes zapadło trwożne milczenie. Słyszał tylko szmer przyspieszonych oddechów. Nagle Jammes odskoczyła z nieskrywanym przerażeniem w najdalszy kąt pokoju i szepnęła:

8 Słuchajcie!

W rzeczy samej, za drzwiami coś jakby zaszeleściło. Nie było słycać kroków, tylko niby szelest jedwabiu ślizgającego się po podłodze. Potem wszystko ucichło. Sorelli starała się okazać mniej strachliwa od koleżanek, podeszła więc do drzwi i spytała głucho:

9 Kto tam?

Nikt nie odpowiedział.

Czując, że wszystkie oczy śledzą każdy jej ruch, zebrała się na odwagę i rzekła głośniej:

10 Jest tam kto?

11 Ależ tak, tak, na pewno ktoś tam jest – potwierdziła nagle Meg Giri, przytrzymując Sorelli za gazową spódniczkę. – Niech pani nie otwiera! Na Boga, niech pani nie otwiera!...

Lecz Sorelli, uzbrojona w sztylet, z którym nie rozstawiała się nigdy, przekreśliła klucz i otworzyła drzwi, a wtedy dziewczęta cofnęły się w najdalszy kąt garderoby.

Sorelli mężnie wyjrzała na korytarz. Był pusty. Gazowy płomyk lampy rzucał czerwone chwiejne światło, nie rozpraszając jednak panujących w korytarzu ciemności. Tancerka szybko zatrzasnęła drzwi i westchnęła z ulgą:

12 Nie ma nikogo!

13 Ale myśmy go widziały! – zapewniła znów Jammes, wracając lekko na swoje miejsce obok Sorelli. – On gdzieś tu krąży. Nie pójdę się przebierać. Zejdźmy tam wszystkie razem do foyer pożegnać dyrektorów i potem razem wrócimy.

Mówiąc to, dotknęła koralowego pazurka, który miał ją chronić od złego. Sorelli zaś ukradkiem nakreśliła prawym kciukiem krzyż świętego Andrzeja na drewnianym pierścionku, noszonym na serdecznym palcu lewej ręki, po czym rzekła:

17 Moje małe, trzeba się wreszcie opamiętać! Jaki znów upiór! Nikt go pewnie dotąd nie widział...

18 Ależ tak, tak, myśmy go widziały!... Przed chwilą! ... Miał trupa czaszkę i czarny frak, jak tego wieczoru, gdy widział go Buquet!

19 Gabriel też go widział! – dodała Jammes. – Nie dalej jak wczoraj po południu... w biały dzień...

20 Gabriel, nauczyciel śpiewu?

21 No tak.. Jak to? Nie wiecie?

22 I w biały dzień był we fraku?

23 Kto? Gabriel?

24 Ależ nie! Upiór!

25 Jasne, że był we fraku! – zapewniła Jammes. – Sam Gabriel mi to powiedział... Właściwie nawet po tym go poznał. To było tak: Gabriel siedział w gabinecie reżysera. Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Pers... Wiecie, ten, co ma „złe oko”...

26 Tak, tak – odpowiedziały chórem dziewczęta i dla odpędzenia uroku pokazały rogi Losowi, wyciągając palec wskazujący i mały, a serdeczny i duży przytrzymując kciukiem.

27 Gabriel jest przesądny – mówiła dalej Jammes – ale też zawsze uprzejmy, więc gdy spotyka się z Persem, wkłada tylko spokojnie rękę do kieszeni, aby dotknąć kluczy, które tam nosi. Ale tym razem, kiedy Pers stanął w drzwiach, Gabriel porwał się z fotela, żeby dotknąć żelaznej kłódki przy szafie. Tylko że zaczepił przy tym gwóźdź i rozdarł sobie palto. Potem, spiesząc do wyjścia, uderzył się o wieszak i nabił sobie guza; cofnął się wtedy gwałtownie i skaleczył się w rękę o parawan stojący koło fortepianu. Chciał się oprzeć o fortepian, lecz pokrywa spadła mu na rękę i przygniotła palce. Tego było już za wiele. Wpadł jak szalony z gabinetu, ale tak nieszczęśliwie, że zaraz potem stoczył się ze schodów. Akurat przechodziłam tamtędy z mamą, więc pobiegłyśmy mu na pomoc. Był mocno potłuczony i twarz miał zakrwawioną, co nas bardzo przestraszyło. On się jednak

uśmiechnął i rzekł: „Dzięki Bogu, że się na tym skończyło!” Zaczęłyśmy go wypytywać i opowiedział nam, co wzbudziło w nim taki lęk. Otóż za plecami Persa ujrzał upiora!
Upiora z trupią czaszką, jakiego opisywał Buquet!

Pełne przerażenia szepty rozległy się po tym opowiadaniu, które Jammes kończyła zdyszana, gdyż mówiła tak szybko, jakby poganiało ją widmo. Następnie na dłuższą chwilę zapadła cisza. Przerwała ją półgłosem mała Giri.

33 Lepiej by było, gdyby Buquet przestał o tym gadać – rzekła.

34 Dlaczego by miał przestać? – zapytano.

35 Tak twierdzi moja mama... – odpowiedziała cichutko Meg, rozglądając się z obawą dokoła, jakby się obawiała, że jeszcze ktoś inny może ją posłyszeć.

36 A dlaczego tak twierdzi twoja mama?

37 Ciii! Mama mówi, że upiór nie lubi, aby go niepokoić!

38 A dlaczego mama tak mówi?

39 Bo... bo... bo nic.

To sprytnie zamilknięcie podnieciło tylko ciekawość tancerek, które skupiły się dokoła małej Giri, błagając o wyjaśnienia.

43 Przysięgam, że nic nie powiem – szepnęła Meg.

Lecz one nie dawały jej spokoju i tak solennie obiecały utrzymać to w tajemnicy, że Meg, którą paliło pragnienie, aby wyjawic sekret, zaczęła po chwili mówić z oczami wlepionymi w drzwi:

44 Bo widzicie... to przez tę lożę...

45 Jaką lożę?

46 Loże upiora!

47 Upiór ma swoją lożę?!

Na myśl o tym, że upiór posiada swoją lożę, tancerki ogarnęło osłupienie pomieszane z wisielczą wesołością. Serca biły głośno, piersi podnosiły się szybko.

48 Ach, mój Boże! Mów dalej, mów...

49 Ciszej! – przykazała Meg. – To loża numer pięć na pierwszym piętrze po lewej.

50 Nie może być!

51 To prawda... Mama jest bileterką przy tych lożach... Ale przysięgacie, że nie powiecie ani słowa?

52 Ależ tak, tylko mów dalej!

53 No i to jest właśnie loża upiora. Już od miesiąca nikogo tam nie było, z wyjątkiem upiora naturalnie, i administracja wydała polecenie, żeby tej loży nigdy nie sprzedawać...

54 I to prawda, że upiór tam przychodzi?

55 No pewnie!..

56 Więc jednak ktoś przychodzi?

57 Nie! *Przychodzi Upiór, lecz w loży nie ma nikogo.*

Tancerki spojrzały po sobie. Jeśli upiór przychodził do loży, musiano go widzieć, gdyż miał czarny frak i trupią czaszkę. Kiedy przedstawiły Meg swoje zastrzeżenia, ta odpowiedziała:

63 No właśnie! Upiorów przecież nie widać! On nie ma ani czarnego fraka, ani trupiej czaszki! ... Wszystko, co opowiadają o trupiej czaszce i o głowie ognistej, to bujda! On nic takiego nie ma... Słyszać go tylko, kiedy jest w loży. Mama nigdy go nie widziała, ale słyszała już nieraz. Mama wie dobrze, bo zawsze mu daje program!

Tu Sorelli uznała za stosowne wtrącić:

64 Giri, kpisz sobie z nas.

Dziewczynka zaczęła płakać.

66 Lepiej było nic wam nie mówić... Ach, gdyby mama się dowiedziała! ... W każdy razie

Buquet niepotrzebnie zajmuje się tym, co go nie obchodzi... To mu przyniesie nieszczęście.. Mama mówiła o tym jeszcze wczoraj wieczorem...

W tej chwili na korytarzu rozległy się pospieszne ciężkie kroki i wołanie zadyszonym głosem:

67 Cecylia! Jesteś tam?

68 To mama! – rzekła Jammes. – Co się stało?

Uchyliła drzwi. Okazała dama o posturze grenadiera wpadła do garderoby i rzuciła się z jękiem na fotel. Wywróciła przerażonymi oczami połyskującymi ponuro w twarzy czerwonej jak burak.

69 Co za nieszczęście! – zakwiliła. – Co za nieszczęście!

70 Co takiego? Co się stało?

71 Joseph Buquet...

72 No co z nim?

73 Nie żyje!

Garderobę wypełniły okrzyki pełne strachu i zdziwienia oraz trwożliwe prośby o wyjaśnienie.

75 Znaleźli go powieszzonego w trzecim podsceniu... Ale *najstraszniejsze, to że maszyniści, którzy odkryli ciało, twierdzą, że dokoła trupa – ciągnęła sapiąc szacowna dama – słychać było jakby pieśń żałobną!*

76 To upiór! – mimo woli krzyknęła Giri, lecz w tej samej chwili opamiętała się i zakrywając piąstką usta, dodała: - Nie, nie!... Ja nic nie powiedziałam!... Co znowu...

Stojące koło niej przerażone towarzyszki powtarzały cicho:

77 No jasne! To upiór!...

Sorelli pobladła jak kreda...

79 W żaden sposób nie potrafię teraz wygłosić mojej mowy – rzekła.

Pani Jammes wypiła kieliszek likieru stojący na stole i wyraziła swoje zdanie:

80 Na pewno upiór maczał w tym palce!

I w rzeczy samej, nie zdołano nigdy ustalić dokładnie, w jaki sposób umarł Joseph Buquet.

Śledztwo nie dało żadnych rezultatów, orzeczono więc, że to *zwykłe samobójstwo*. W pamiętnikach pana Moncharmina, jednego z dwóch następców panów Debieenne' a i Poligny' ego, sprawa ta przedstawiona jest następująco:

„Przykry wypadek zamącił uroczyste przyjęcie wydawane przez panów Debieenne' a i Poligny' ego z okazji ich odejścia. Znajdowałem się w gabinecie dyrektora, kiedy wszedł nagle administrator Mercier. Z przerażeniem opowiedział mi, że przed chwilą w trzecim podsceniu między dekoracjami z <<Króla Lahauru>>, znaleziono powieszzonego maszynistę. Wykrzyknąłem na to: <<Trzeba go zdjąć!>> Kiedyśmy jednak przybyli na miejsce wypadku, na szyi powieszzonego nie było już sznura!”

Wypadek ten pan Moncharmin uważa za zupełnie naturalny. Człowiek wiesz się na postronku, a gdy przychodzą go odciąć, postronka nie ma. Lecz pan Moncharmin wyjaśnia to w sposób bardzo prosty. Posłuchajcie, co o tym pisze: „*Była to godzina lekcji baletu i solistki oraz baletniczki postarały się szybko o zabezpieczenie przeciwko urokom*”. To wszystko. Akurat! Cały balet zbiegł po drabinie i podzielił się sznurem wisielca w czasie krótszym niż trzeba, aby to napisać! Bez sensu. Kiedy się natomiast zastanowię nad miejscem, gdzie znaleziono ciało – w trzecim podsceniu – wydaje mi się, że ktoś mógł mieć *jakiś* interes w tym, aby sznur zniknął po spełnieniu swego zadania. Czy moje domysły były błędne, okaże się później.

Ponura wieść rozeszła się szybko po całym gmachu Opery, gdzie Joseph Buquet był bardzo lubiany. Garderoby opustoszały, a tancerki skupiły się przy Sorelli jak wylekłe owieczki wokół pasterza i przez słabo oświetlone schody i korytarze skierowały się ku foyer, biegnąc co sił w drobnych nóżkach.

II

Nowa Małgorzata

Na zakręcie schodów Sorelli natknęła się na hrabiego de Chagny. Hrabia, zazwyczaj tak spokojny i chłodny, okazywał tym razem wielkie podniecenie.

81 Szedłem właśnie to pani – rzekł, dwornie witając primabalerinę. – Ach, Sorelli! Jaki cudowny wieczór! A Krystyna Daaé! Ca za triumf!

82 Niemożliwe! – zaprotestowała Meg Giri. – Jeszcze pół roku temu śpiewała baranim głosem. Lecz pozwól na przejść, *drogi hrabio* – ciągnęło dziewczątko, zginając się w przesadnym ukłonie – idziemy się dowiedzieć o tego biedaka, którego znaleźli powieszzonego.

Akurat przechodził tamtędy administrator, a usłyszawszy jej słowa, zatrzymał się.

86 Jak to? Panienki już wiedzą? – rzekł nieco szorstko. – Ale proszę nie mówić o tym nikomu... A zwłaszcza, żeby panowie Debieenne i Poligny się nie dowiedzieli! W ostatnim dniu byłoby to dla nich bardzo przykre.

I wszyscy ruszyli do foyer.

Hrabia de Chagny miał słuszość: nigdy przedstawienie galowe nie udało się tak świetnie. Wszyscy ówczesni mistrzowie muzyki, jak Gounod, Reyer, Saint – Saens, Massenet, Guirant, Delibes, ujmowali kolejno pałeczkę kapelmistrzowską i sami kierowali wykonaniem. Tego wieczoru olśniony i zdumiony Paryż poznał Krystynę Daaé, której tajemnicze dzieje pragnę odsłonić w tej opowieści.

Wykonała ona najpierw kilka ustępów z „Romea i Julii”. Ach, żałować należy tych, co nie słyszeli jej roli w Julii, co nie poznali jej naiwnego wdzięku, nie doświadczyli dreszczu, gdy rozległ się jej anielski głos, nie poczuli, jak dusza ich wlatuje wraz z jej duszą ku grobowi kochanków z Werony.

Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z nadludzkim akcentem, na jaki zdobyła się w roli Małgorzaty w „Fauście”, śpiewając w zastępstwie niedysponowanej Carlotty. Nigdy nie widziano i nie słyszano nic podobnego! W interpretacji Krystyny Daaé była to naprawdę „nowa Małgorzata”, niespodziewanie wspaniała, olśniewająca.

Sala uczyła tysięcznymi okrzykami niekłamanego wzruszenia Krystynę, która szlochała i słała się w ramionach koleżanek. Musiano ją przenieść do garderoby. Krytyka teatralna w osobach największych artystów i znawców muzyki była prawdziwie zachwycona. Wielbiciele opery zgodnie utrzymywali, że to piękne dziewczę wniosło owego wieczoru na deski sceniczne coś więcej niżli sztukę – wniosło też serce. A serce to było niewinne i jak oświadczył jeden ze znanych krytyków, aby pojąć, co zaszło w Daaé, „*siłą rzeczy nasunęło mi się, iż śpiewaczka niechybnie pokochała pierwszą miłością!* Możem i niedyskretny – dodawał – lecz jedynie miłość zdolna jest dokonać tak cudownego przeobrażenia. Przed dwoma laty słyszeliśmy Krystynę na popisie w konserwatorium, kiedy to budziła duże nadzieje. *Skąd się wzięła dzisiejsza miłość? Jeśli nie spłynęła z nieba na skrzydłach miłości, gotowym pomysłem, iż pochodzi z piekieł i że Krystyna zawarła pakt z diabłem!* Kto nie słyszał, jak Daaé śpiewa w końcowym trio z <<Fausta>>, opery tej wcale nie zna”.

Kilku starych bywalców wyrażało oburzenie. Jak można było tak długo ukrywać przed nimi podobny skarb? Krystyna Daaé widywana była dotychczas jako wcale dobry Siebel obok Małgorzaty może nazbyt materialnie pojętej przez Carlottę. I trzeba było dopiero naglej niedyspozycji Carlotty, aby na tym wieczorze galowym Krystyna mogła bez prób wystąpić w części programu zarezerwowanej dla hiszpańskiej diwy! Wreszcie dlaczego panowie Debieenne

i Poligny, pozbawieni Carlotty, aby na tym wieczorze, zwrócili się do Krystyny? Znali więc jej ukryty geniusz? A skoro tak, to dlaczego dotąd go ukrywali? I dlaczego ona sama się ukrywała? Rzecz dziwna, nie słyszano, by miała nauczyciela śpiewu. Krystyna oświadczyła tylko parokrotnie, iż od pewnego czasu pracuje sama. Wszystko to doprawdy było niewytłumaczalne.

Hrabia de Chagny obecny był w swej loży na przedstawieniu i dał się unieść ogólnemu entuzjazmowi.

Hrabia Filip Jerzy Maria de Chagny liczył podówczas 41 lat. Był to piękny mężczyzna i wielki pan. Po śmierci starego hrabiego stał się głową jednej z najwybitniejszych i najstarszych rodzin francuskich, której szlachectwo sięgało epoki Ludwika IX. Rodzeństwo hrabiego składało się z dwóch sióstr już zamężnych i brata Raoula, który teraz właśnie doszedł pełnoletności. Gdy zmarł stary hrabia, Raoul liczył sobie lat dwanaście i Filip zajął się wychowaniem brata. Chłopiec miał od dzieciństwa pociąg do marynarki, zaczął przeto kształcić się w tym kierunku i skończył szkołę morską. Dzięki szerokim stosunkom został właśnie członkiem wyprawy mającej w lodach podbiegunowych szukać śladów ekspedycji zaginionej od trzech lat. Na razie korzystał z dłuższego urlopu, który kończył się dopiero za sześć miesięcy.

Nieśmiałość młodego marynarza, powiedziałbym nawet – niewinność, była wprost niezwykła. Zdawało się, że dopiero co wyszedł spod pieczy kobiet. Wyrósłszy w towarzystwie dwóch sióstr i starej ciotki, nabrał w sposobie bycia wielkiej skromności, która jeszcze dodawała mu wdzięku. W tym czasie minęło mu już dwadzieścia jeden lat, choć wyglądał na osiemnaście. Miał jasny wąsik, piękne niebieskie oczy i cerę panny.

Filip kochał bardzo Raoula. Czuł się z niego dumny i przewidywał dla młodszego bratu pełną chwały karierę w marynarce, w której jeden z ich przodków, słynny Chagny da La Roche, zajmował ongiś stanowisko admirała. Obecnie korzystał z urlopu młodzieńca, aby mu w Paryżu pokazać w dziedzinie wytwornych rozrywek i przyjemności wszystko to, czego Raoul nie znał.

Hrabia uważał, iż w wieku Raoula nadmiar rozsądku jest nierozsądny. Lecz zrównoważony wykwinny światowiec, jakim był hrabia de Chagny, nie potrafił dać bratu złego przykładu. Zabierał go z sobą wszędzie, wprowadzając nawet do foyer tancerek. Powiadano, że hrabia ostatnio jest blisko z Sorelli, czy można jednak uznać za zbrodnię, że nieżonaty szlachcic spędza wieczorem godzinkę czy dwie w towarzystwie tancerki, wprawdzie nie tak bardzo bystrej, ale za to mającej najpiękniejsze w świecie oczy? Zwłaszcza, że są miejsca, gdzie Paryżanin tak wysoko postawiony jak de Chagny powinien bywać, a w owym czasie foyer tancerek Opery do miejsc tych właśnie należało.

Być może zresztą Filip nie zaprowadziłby brata za kulisy, gdyby ten parokrotnie nie dopominał się o to z pewnym uporem, co hrabia dopiero później miał sobie przypomnieć.

Na przedstawieniu owego wieczoru Filip, oklaskujący gorąco Daae, odwróciła się do Raoula i zauważył z przerażeniem jego niezwykłą błądź.

87 Nie widzisz – szepnął Raoul – że ta kobieta zaraz zemdleje?

W rzeczy samej, na scenie musiano podtrzymywać chwiejącą się Krystynę.

88 Raczej ty zemdlejesz – powiedział na to hrabia, pochylając się ku niemu. – Co ci jest? Lecz Raoul podniósł się z fotela.

89 Chodźmy – rzekł nieswoim głosem.

90 Gdzie chcesz iść? – spytał hrabia, zaniepokojony jego zachowaniem.

91 Chodźmy ją zobaczyć. Ona jeszcze nigdy tak nie śpiewała.

Hrabia z zaciekawieniem spojrzął na brata i domyślny uśmieszek przewiął mu się przez usta.

94 Ach, tak! – rzekł i po chwili dodał: - Chodźmy, chodźmy!

Na twarzy miał wyraz wielkiego zadowolenia.

Skierowali się ku bocznemu wejściu na scenę, gdzie tłoczyło się wiele osób. Raoul miał nerwowo rękawiczki. Ujrawszy tę niecierpliwość, hrabia pojął już wszystko. Wiedział teraz, dlaczego Raoul bywał tak roztargniony, gdy do niego mówiono, i dlaczego z takim upodobaniem sprowadzał często rozmowę na temat Opery.

Chwilę później byli na scenie. Panował tam gorączkowy ruch; wyfraczony tłum cisnął się ku foyer tancerek. Nawoływania przebiegających co chwila maszynistów mieszały się z ostrymi napomnieniami porządkowych, rozlegały się kłótnie statystów zmieniających naprędce kostiumy, piskliwe głosy i śmiechy spieszących dokądś baletnic. Spuszczano jedne dekoracje, podnoszono inne, wymieniano rekwizyty, ktoś stukał młotkiem. Zwyczajne to zamieszanie podczas antraktu zawsze wprawia w popłoch nowicjusza, jakim był Raoul idący tak szybko, jak mu tłok pozwalał, po scenie, na której Krystyna Daaé odniosła właśnie triumf i pod którą Joseph Buquet umarł.

Nigdy nie było większego zamętu niż tego wieczoru, ale też nigdy Raoul nie czuł większej śmiałości. Zdecydowanie usuwał ze swej drogi przeszkody, nie zwracając najmniejszej uwagi na ścigające go komentarze. Opanowany był tylko jednym pragnieniem: ujrzeć tę, której cudowny głos wyrwał z jego piersi serce. Czuł bowiem, że ono już doń nie należy. Próbował się bronić od dnia, kiedy Krystyna, którą znał w dzieciństwie, nie raz przed nim stanęła. Ogarnęło go wtedy dziwne, a rozkoszne wzruszenie. Chciał je odpędzić, poprzysiągł bowiem, że pokocha jedynie tę, co zostanie jego żoną, a nie mógł wszak ani przez chwilę myśleć o poślubieniu śpiewaczki; lecz oto wzruszenie przemieniło się w straszne uczucie. Czuł w piersi ból, jakby ktoś wyrwał mu serce. A potem doznał wrażenia okropnej pustki, którą mogłoby zapełnić jedynie czyjeś serce. Fenomen ten zwie się bardzo prosto: miłość od pierwszego wejrzenia.

Hrabia de Chagny z dobrodusznym uśmiechem na twarzy ledwie nadązał za spiesznym idącym bratem. Minąwszy drzwiczki prowadzące za kulisy, Raoul musiał się zatrzymać, aby przepuścić grupkę zagradzających mu drogę baletniczek. Z drobnych uróżowanych warg posypał się grad żartobliwych uwag pod adresem Raoula, nie reagującego bynajmniej na te zaczepki. Nareszcie jednak wydostał się na mroczny korytarz rozbrzmiewający wrzawą głośnych rozmów zebranych tam wielbicieli sztuki. Jedno imię zagłuszało wszystko inne: Krystyna Daaé.

„A to szelma! Zna drogę!” – myślał hrabia kroczący za bratem i zastanawiał się, w jaki też sposób Raoul mógł śpiewaczkę poznać. On go jeszcze do Krystyny nie przyprowadził. Zapewne Raoul zapuścił się już kiedyś w te labirynty, gdy on zwykle gwarzył we foyer z Sorelli, która czasem prosiła, by nie opuszczał jej aż do chwili wyjścia na scenę, a nawet wymagała, aby czekał za kulisami z parą maleńkich kamaszy mających ochronić przed zabrudzeniem jej atłasowe pantofelki.

Odkładając na później wizytę u Sorelli, hrabia posuwał się więc dalej korytarzem wiodącym do garderoby Krystyny, przy czym stwierdzał, że nigdy chyba nie przewijało się tam równie wielu ludzi jak tego wieczoru, gdy w całym teatrze panowało poruszenie wzbudzone sukcesem artystki i jej omdleniem. Krystyna nie odzyskała bowiem jeszcze przytomności. W tej właśnie chwili nadchodził wezwany lekarz teatralny, za nim zaś spieszył Raoul, następując mu niemal na pięty.

Lekarz i rozkochany młodzieniec znaleźli się równocześnie przy Daaé i podczas gdy pierwszy udzielał artystce pomocy, drugi trzymał ją w ramionach. Hrabia z wieloma innymi pozostał przy drzwiach, w których panował ścisk nie do opisanego.

96 Czy nie uważa pan, doktorze – zapytał Raoul z niezwykłą śmiałością – że ci panowie powinni się wynieść z garderoby? Strasznie tu duszno.

97 Ależ tak, najzupełniej słusznie – odpowiedział doktor i usunął z pokoju wszystkich z wyjątkiem Raoula i panny służącej.

Ta ostatnia spoglądała na wicehrabiego z nieskrywanym zdziwieniem, gdyż nigdy go u swej pani nie widziała. Nie ośmieliła się jednak odezwać słowem. Doktor zaś sądził, że skoro młodzieniec zachowuje się ten sposób, to widocznie ma ku temu jakieś prawa. Raoul został więc w garderobie wpatrzony w powracającą do przytomności Krystynę, podczas gdy nawet obaj dyrektorowie, panowie Debienne i Poligny, którzy przybyli, aby osobiście wyrazić jej swój podziw, znaleźli się za drzwiami z szeregiem innych wielbicieli.

Hrabia de Chagny tymczasem w korytarzu śmiał się do rozpuku.

„A to szelma! Co za szelma! I wierz tu, człowieku, tym młodzianaszkom, mającym pozory niewiniątek!” – myślał.

Promieniał z radości.

„To jednak prawdziwy de Chagny!” – stwierdził na koniec, po czym szczęśliwy i dumny skierował się do garderoby Sorelli, którą, jak już powiadano, spotkał po drodze do foyer baletu z jej wystraszoną stadką.

Tymczasem Krystyna Daae wydała głębokie westchnienie, któremu echem odpowiedziało inne. Obróciła głowę, a ujrawszy Raoula, zadrżała. Uśmiechnęła się do lekarza, popatrzyła na pannę służącą i znów na Raoula.

98 Kim pan jest? – zapytała słabym jeszcze głosem.

A on przyklęknął i składając gorący pocałunek na jej dłoni, powiedział:

99 *Jestem tym chłopcem, który niegdyś wyłowił pani szal z morza.*

Krystyna spojrzała na lekarza i pokojówkę, po czym wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

Raoul podniósł się na nogi cały czerwony.

101 Ponieważ nie chce się pani przyznać do znajomości ze mną, proszę o chwilę rozmowy na osobności w sprawie bardzo ważnej.

102 Jak mi już będzie lepiej, dobrze? – odparła drżącym głosem. – Pan jest bardzo miły...

103 Lepiej, żeby pan teraz poszedł – uprzejmie wtrącił doktor. – Ja się panną Daae zaopiekuję.

104 Ależ ja nie jestem chora – odezwała się naraz Krystyna z nieoczekiwaną dziwną energią. Podniosła się i szybkim gestem przetarła oczy.

105 Dziękuję doktorze... Teraz potrzebuję samotności... Idźcie już, panowie, proszę... Jestem dziś bardzo zdenerwowana...

Lekarz chciał protestować, lecz widząc silne rozdrażnienie śpiewaczki uznał, że w podobnym stanie lepiej się jej nie sprzeciwiać.

Wyszedł więc z zawiedzionym Raulem na korytarz.

106 Nie poznaję jej... – rzekł. – Zwykle jest taka łagodna.

Pożegnał młodzieńca i odszedł.

Raoul został sam. Cała ta część teatru była teraz pusta. Wszyscy zebrali się w głównym foyer, gdzie odbywało się pożegnanie dyrektorów. Raoul sądził, że i Krystyna za chwilę tam podąży, czekał więc na korytarzu w ciszy i samotności. Wsunął się nawet w mroczne zagłębienie drzwi. W piersiach odczuwał ciągle ten sam okropny ból. O nim właśnie chciał jak najprędzej powiedzieć Krystynie.

Nagle drzwi garderoby otworzyły się szeroko i Raoul ujrzał pokojówkę wychodzącą z zawiniątkiem w ręce. Zatrzymał ją w przejściu i zapytał, jak się miewa jej pani. Dziewczyna ze śmiechem odrzekła, że śpiewaczka czuje się już zupełnie dobrze, lecz nie należy jej przeszkadzać, gdyż pragnie być sama.

Raoulowi przemknęło przez myśl: pragnie być sama *dla niego!*...
Czyż nie wspominał, że chce z nią pomówić na osobności? Zapewne dlatego zręcznie pozbyła się wszelkiego towarzystwa.

Wstrzymując oddech podszedł do drzwi garderoby i już miał zapukać... lecz ręka jego opadła. Dobiegł go bowiem z pokoju *męski głos* mówiący rozkazująco:

108 Krystyno! Ty musisz mnie kochać!

A drżący, pełen bólu, nabrzmiały łzami głos śpiewaczki odpowiedział:

110 Jak możesz tak do mnie mówić? *Przecież ja śpiewam tylko dla ciebie!*

Raoul oparł się o futrynę drzwi, by nie upaść. Sądził niedawno, że serce wyrwano mu z piersi. Teraz jednak waliło jak młot. Zdawało mu się, że jego uderzenia rozlegają się w całym korytarzu. Usłyszą je w końcu w garderobie i sromotnie przepędzą spod drzwi, jego, Raoula de Chagny! Przycisnął piersi mocno rękami, chcąc zagłuszyć te szalone uderzenia. Na darmo jednak.

112 Musisz być bardzo zmęczona – odezwał się znowu w garderobie *męski głos*.

113 Och! Dzisiaj duszę ci oddałam.

114 Piękną masz duszę, moje dziecko – mówił *głos z powagą*. – Żaden monarcha nie otrzymał nigdy w darze podobnego skarbu. *Aniołowie dzisiaj płakali*.

Po tych słowach Raoul nie usłyszał już nic więcej.

Nie odszedł jednak, tylko w obawie, że zostanie odkryty, skrył się z powrotem w mrocznym kątku oczekując wyjścia mężczyzny. Równocześnie poznał miłość i nienawiść. Wiedział, kogo kocha. Chciał się dowiedzieć, kogo nienawidzi.

Ku ogromnemu jego zdumieniu drzwi garderoby otworzyły się i Krystyna Daaé, otulona futrem, z twarzą przysłoniętą koronką, wyszła sama. Zatrzasnęła za sobą drzwi, lecz Raoul zauważył, że nie zamknęła ich na klucz. Przeszła obok niego, ale nawet za nią nie spojrział, gdyż wzrok utkwiał w drzwiach.

Kiedy śpiewaczka przeszła, Raoul wrócił przed drzwi garderoby, otworzył je i zaraz za sobą zamknął. Znalazł się w głębokich ciemnościach. Światło w pokoju było zgaszone.

115 Wiem, że ktoś tu jest! – zawołał wibrującym głosem. – Dlaczego się ukrywa?

Mówiąc to, opierał się plecami o zamknięte drzwi.

Z ciemności nie dobiegł najbliższy dźwięk. Słyszał tylko własny oddech.

117 Nie wyjdiesz pan stąd, aż za moim pozwoleniem! – gorączkował się dalej. – Jeżeli nie odpowiesz, jesteś podłym tchórzem! Ale potrafię cię zdemaskować.

Potał zapałkę i płomyk oświetlił pokój. Nie było w nim nikogo! Raoul przekręcił klucz w zamku i pozapalał lampy. Zajrzał do umywalni, otworzył szafy, spoconymi rękami obmacał mury.

W garderobie nie było nikogo.

118 Ja chyba tracę zmysły! – rzekł na głos.

Długą chwilę stał wsłuchany w szmer palącego się gazu. Wszedł półprzytomny, nie wiedząc, dokąd idzie ani co czyni. W pewnej chwili zimne powietrze owionęło mu twarz. Znajdował się na dole wąskich schodów, którymi schodziło właśnie w milczeniu kilku robotników, dźwigając nakryte białym płótnem nosze.

119 Gdzie jest wyjście? – zapytał ich Raoul.

120 A ty, naprzeciwno – odpowiedziano mu. – Drzwi się otwarte. Ale proszę nas przepuścić.

121 A to co? – zapytał machinalnie Raoul, wskazując nosze.

122 To ciało Josepha Buquet, którego znaleziono powieszzonego w trzecim podsceniu, obok dekoracji z „Króla Lahauru”.

Raoul usunął się z drogi, uchylił kapelusza i wyszedł.

III

Panowie Debieenne i Poligny wyjaśniają w sekrecie nowym dyrektorom prawdziwy, a tajemniczy powód swojego ustąpienia.

We foyer baletu odbywało się tymczasem uroczyste pożegnanie ustępujących dyrektorów Opery. Brał w nim udział cały świat artystyczny Paryża.

Sorelli z pucharem szampana w ręce, gotowa wygłosić przemówienie, stała pośrodku, a za nią cisnęły się wszystkie jej koleżanki. Jedne poszeptywały o wydarzeniach dnia, inne kierowały porozumiewawcze znaki do przyjaciół, rozgadany tłum otaczającym bufet ustawiony w sali. Kilka tancerek przebrało się już, lecz większość zachowała tiulowe spódniczki. Mała Jammes, która dzięki swoim piętnastu wiosnom zdołała zapomnieć o śmierci Josepha Buquet i upiorze Opery, kręciła się niespokojnie wybuchając co chwila śmiechem, podskakiwała, aż Sorelli musiała przywołać ją do porządku, kiedy na schodach pojawili się dyrektorowie.

Wszyscy zauważyli, że ustępującym dyrektorom dopisuje humor, co na prowincji zadziwiłoby każdego, lecz w Paryżu należało do dobrego tonu. Nie mógłby się bowiem poszczycić mianem „prawdziwe Paryżanina” ten, kto by nie umiał pod maską wesołości ukrywać swych cierpień. Skoro wiadomo, że przyjaciel pogrążony jest w smutku, nie należy go pocieszać, gdyż powie, że już został pocieszony; a skoro spotkało go coś dobrego, nie wolno mu składać powinszowań, albowiem Paryżanin uważa własne powodzenie za coś tak naturalnego, że dziwi się, gdy ktoś o tym mówi. W Paryżu trwa wieczna maskarada, a panowie Debieenne i Poligny byli ludźmi zbyt doświadczoneymi, by we foyer zdradzić swój rzeczywisty smutek. Uśmiechali się więc szeroko do Sorelli, która zaczęła swą przemowę, gdy wtem przeraźliwy krzyk małej Jammes tak nagle uśmiech ten zgasił, że oczom wszystkich ukazał się zamaskowany dotąd niepokój i strach dyrektorów.

124 Upiór Opery!

Jammes rzuciła te słowa z nieopisanym przerażeniem; palcem wskazywała pośród wyfraczonego tłumu oblicze blade, posępne, tak szpetne z dwoma czarnymi, głębokimi oczodołami, że przyjęto je z szalonym aplauzem.

- Upiór Opery ! upiór Opery – rozlegało się dokoła.

Wszyscy się śmiali, przepychali, każdy chciał stawiać upiorowi opery szampana. Upiór jednak znikł! Wmieształ się w tłum i na próżno go szukano.

Sorelli była wściekła, bo nie zdołała dokończyć przemowy. Debieenne i Poligony podziękowali jej serdecznie i znikli równie szybko jak upiór. Nikt się tym zbytnio nie zdziwił, gdyż wiadano, że podobna uroczystość czeka ich jeszcze na wyższym piętrze, we foyer chóru, a na koniec podejmować będą najbliższych przyjaciół w holu gabinetu dyrektorskiego, gdzie przygotowano wystawną kolację.

Tam też znaleźli się nowi dyrektorowie, Moncharmin i Richard.

Ledwie się znali z ustępującymi, wszyscy czterej jednak obsypywali się nawzajem komplementami i serdecznościami, co wpłynęło dodatnio na usposobienie gości, tak że podczas kolacji nastrój panował niemal radosny. Po kilku toastach atmosfera jeszcze się ożywiła, kiedy zaś Debieenne i Poligony wręczyli swoim następcom dwa kluczyki uniwersalne otwierające wszystkie drzwi Narodowej Akademii Muzyki, wzbudziły one powszechne zainteresowanie. Podawano je sobie z rąk do rąk, gdy wtem uwagę niektórych odwróciło uczynione nagle

odkrycie: na końcu stołu ujrzeli ową bladą, niesamowitą twarz o pustych oczodołach, powitaną przedtem przez małą Jammes okrzykiem „Upiór Opery!”

Osobnik ów siedział przy stole jak każdy z gości, tyle że nie jadł i nie pił.

Ci, co początkowo przyglądali mu się ze śmiechem, odwrócili w końcu głowy, ogarnięci nagle ponurymi myślami. Nikt nie śmiał dowcipkować jak we foyer, nikt nie zawołał:

„To upiór Opery!”

On zaś nie wyrzekł słowa, a najbliżsi sąsiedzi nie mogliby orzec w jakiej chwili zasiadł przy stole. Każdy wszakże pomyślał, że jeśli zmarli zjawiają się czasem pośród żywych, to chyba nie pokazują ohydniejszego oblicza.

Przyjaciele Richarda i Moncharmina przypuszczali, że ten dziwaczny gość należy do znajomych Debieenne’a i Poligny’ego, ci zaś sądzili na odwrót. Dlatego też nie pozwolono sobie na żarty, niestosowne pytania czy gest niechęci względem niesympatycznego przybysza z zaświatów.

Każdy, kto słyszał legendę o upiorze Opery i znał jego wygląd z opisu Josepha Buquet – a nie wiedział jeszcze o tajemniczej śmierci maszynisty – uważał *In petto*, że człowiek siedzący na końcu stołu mógłby z powodzeniem uchodzić za żywe wcielenie postaci będącej, zdaniem większości, wytworem imaginacji niepoprawnie przesądnych pracowników Opery. Tyle że według legendy upiór nie posiadał nosa, a jemu tej ozdoby twarzy nie brakowało. Jednakże Moncharmin w swoich pamiętnikach twierdzi, że nos dziwnego gościa „był długi, cienki i przezroczysty” – a ja dodam że mógł być sztuczny.

Czy rzeczywiście upiór Opery zjawił się tego wieczoru bez zaproszenia na bankiecie wydanym przez dyrektorów? I czy można mieć pewność że owa twarz należała do upiора? Kto by ośmielił się tak twierdzić? Wspominam o tym incydencie nie w celu przekonania czytelnika, iż tajemniczy upiór był zdolny do tak zuchwałego czynu, lecz dlatego, że wydaje mi się to bardzo prawdopodobne. Armad Moncharmin bowiem w swoich pamiętnikach pisze tak: „Kiedy przypominam sobie ten wieczór, trudno mi rozdzielić tajemnicę, jaką w gabinecie dyrektorskim wyznali nam Debieenne i Poligony, od obecności na bankiecie tego upiornego osobnika, którego żaden z nas nie znał”.

Oto co się wtedy wydarzyło:

Debieenne i Poligony, siedzący pośrodku stołu, nie spostrzegli jeszcze osobnika o trupiej twarzy, gdyż tenże odezwał się niespodziewanie

- Panienci z baletu mają słuszność – rzekł. – Śmierć tego Buqueta nie jest może tak naturalna, jak się wszystkim wydaje...

Ustępujący dyrektorowie podskoczyli na krzesłach

- Buquet nie żyje? – zawołali.

- Tak – odpowiedział spokojnie ów człowiek, a raczej cień człowieka. – Znalaziono go dzisiaj powieszono w trzecim podsceniu.

Eks – dyrektorzy powstali na te słowa i dziwnie przyglądali się nieznajomemu. Mocno byli wzburzeni, bardziej może niż zasługiwały okoliczności. Spojrzeli po sobie. Byli bladzi jak obrus pokrywający stół. W końcu Debieenne skinął na Richarda i Moncharmina, Poligny zaś w kilku słowach przeprosił obecnych, po czym wszyscy czterej opuścili salę.

Oddają teraz głos dyrektorowi Moncharmin.

„Niepokój Debieenne’a i Poligny’ego – pisze w swoich pamiętnikach – wzrastał z każdą chwilą. Miałem wrażenie, że chcą nam powiedzieć coś, co wprawia ich w zakłopotanie. Najpierw zapytali nas czy nie znamy osobnika siedzącego na końcu stołu: na naszą przeczącą odpowiedź mieszały się jeszcze silniej.

Wzięli z naszych rąk kluczyki uniwersalne, chwilę namyślali się i wreszcie poradzili, aby w

największej tajemnicy wymienić zamki w tych pomieszczeniach które pragnęlibyśmy mieć pod pewnym zamknięciem. Wyglądali przy tym tak dziwnie, aż roześmialiśmy się z Richardem pytając, czy w Operze są złodzieje.

Odparli że jest coś gorszego, bo upiór! Zaczęliśmy śmiać się na dobre, przekonani, że żartują sobie z na zakończenie udanego wieczoru. Lecz na ich prośby spoważnieliśmy, chcąc sprawić im przyjemność w tej, jak sądziliśmy, zabawie.

Powiedzieli nam wówczas, że nie byliby uczynili najmniejszej wzmianki o upiorze, gdyby nie otrzymali od niego wyraźnego polecenia, aby nas zobowiązać do uprzejmości wobec tego osobnika i spełniania wszelkich jego życzeń. Szczęśliwi, że opuszczają przybytek, gdzie niepodzielnie panowała owa zjawa, do ostatniej chwili wahali się, czy zwierzać nam się z tych niezwykłych faktów, na które nasze sceptyczne umysły z pewnością nie były przygotowane, gdy wieść o śmierci Josepha Buquet przypominała im brutalnie, że ilekroć nie wypełniali żądań upióra, zawsze jakiś nieoczekiwany a przykry wypadek na nowo umacniał ich w poczuciu zależności.

Podczas tej nieoczekiwanej przemowy, wypowiedzianej poważnie w formie zwierzenia nie spuszczałem oka z Richarda. Richard jeszcze ze studenckich czasów znany był ogólnie jako wyjątkowy żartowniś. Toteż teraz jakby się rozkoszował tym, co mu serwowano.

Słuchał uważnie chociaż śmierć Buqueta przydawała wszystkiemu nieco makabrycznego smaczku. Ze smutkiem kiwał głową a w miarę jak opowieść się rozwijała, na twarz wypływał mu coraz większy żal, jakby mu przykro było z powodu tej sprawy w operze teraz, gdy dowiadywał się że zamieszany w nią jest upiór. Ja naśladowałem jego zachowanie, lecz przyszła chwila kiedy nie wytrzymaliśmy i parsknęliśmy śmiechem. Nasi rozmówcy zaś, widząc że tak szybko przechodzimy od rozpaczki do szalonej wesołości, sądzili że mają chyba do czynienia z ludźmi niespełna rozumu.

Żart trwał jednak cokolwiek za długo, Richard zapytał wiec pół żartem, pół serio;

- Ale czego właściwie życzy sobie ten upiór?

Poligny poszedł do biurka i wrócił z egzemplarzem księgi adiudykacyjnej zaczynającej się tymi słowami: << Dyrekcja Opery obowiązana jest utrzymywać Narodową Akademię Muzyki na należytych artystycznym i kulturalnym poziomie... >> a kończącym się artykułem 98 tak oto sformułowanym:

<< Przywilej ten może być cofnięty:

1) jeżeli dyrektor postąpi niezgodnie z określonymi w księdze adiudykacyjnej zaleceniami.>>

Dalej wyliczone były owe zalecenia.

Zapis w księdze sporządzono czarnym atramentem w brzmieniu identycznym z egzemplarzem, który myśmy otrzymali. Jednakże zauważyliśmy w niej dopisek zrobiony czerwonym atramentem, pismem dziwacznym, nierównym, przypominającym pierwsze litery stawiane ręką dziecka. Dotyczył on artykułu 98 i brzmiał następująco:

5) Jeżeli dyrekcja opóźni więcej niż o 15 dni wypłatę miesięcznej należności upióra Opery, ustaloną do nowego rozporządzenia na 20 000 franków miesięcznie – czyli 240 000 franków rocznie.

Poligny drżącym palcem wskazywał nam tę ostatnią klauzurę, której zupełnie się nie spodziewali.

125 Czy to wszystko? Czy on nie żąda nic więcej? – zapytał z zimną krwią Richard.

126 Owszem – odparł Poligny.

Przerzucił kilka stronnic.

<< *Prawa łoża prosceniowa nr 1 przeznaczona jest dla członków rządu.* >>

Łoża nr 27 na drugim piętrze będzie codziennie zatrzymywana dla prefektów departamentu Sekwany. >>

Na końcu tego artykułu czerwonym atramentem dodano:

<< *Łoża nr 5 na pierwszym piętrze pozostawać ma zawsze do dyspozycji upiora Opery.* >>

Poruszeni jedną myślą powstaliśmy z Richardem i wyciągając w serdecznym uścisku dłonie do Debienne' a i Poligny' ego, powinszowaliśmy im dowcipnego żartu, świadczącego że francuskie poczucie humoru jeszcze nie wygasło. Richard nawet doda, iż teraz rozumie powód ich ustąpienia: z tak wymagającym upiorem nie podobna prowadzić interesów.

- Zapewne – potwierdził z powagą Poligony – dwustu czterystu tysięcy franków rocznie na ulicy się nie znajduje, a jeszcze proszę policzyć, ile kosztuje nigdy nie sprzedawana łoża!

Doprawdy, trudno jest pracować na utrzymanie upiora! Wolimy odejść!

- Tak jest – powtórzył Debienne. – Wolimy odejść. Chodźmy więc.

I przy tych słowach powstał.

- Zdaje mi się jednak – żartował dalej Richard – iż panowie jesteście zbyt łagodni wobec tego upiora. Gdybym ja miał upiora tak kłopotliwego, nie omieszkałbym oddać go pod opiekę policji.

- Tylko jak? – zawołali chórem. – Myśmy go nigdy nie widzieli!

- Jak to? A w łoży kiedy przychodził na przedstawienie?

- Nie widzieliśmy go nigdy w łoży!

- To czemuście jej nie sprzedali?

- Sprzedać łożę upiora Opery! Ano, moi panowie, spróbujcie!

Po tych słowach wyszliśmy wszyscy z gabinetu. Nigdy jeszcze nie ubawiliśmy się z Richardem tak dobrze”.

IV

ŁOŻA NR 5

Armand Moncharmin napisał tak obszernie pamiętniki, że jeśli chodzi o jego dość długi okres

zarządu Operą, to mimo woli nasuwa się myśl, czy wystarczyło mu kiedykolwiek czasu na jakieś inne zajęcia poza opowiadaniem o tym, co dzieje się w Operze.

Moncharmin nie miał pojęcia o muzyce, ale był na „ty” z ministrem oświaty i z ministrem sztuki, zajmował się niegdyś dziennikarstwem i posiadał dość znaczny majątek. Był ogólnie lubiany i całkiem inteligentny, skoro zdecydowawszy się na kierowanie Operą, potrafił wybrać tego kto będzie przydatnym mu pomocnikiem – udał się mianowicie prosto do Firmina Richarda.

Ten ostatni był wziętym kompozytorem, którego utwory bardzo sobie znawcy cenili. Poza tym miał niezbyt przyjemny charakter, albowiem bywał czasem przesadnie zarozumiały.

Przez pierwsze dni po objęciu zarządu Operą nowi dyrektorowie nie posiadali się z radości, czując się panami tak ogromnego i pięknego gmachu, i byliby niezawodnie zapomnieli o dziwnej a ciekawej historii z upiorem, gdyby nie zaszedł wypadek, który dowiódł im, że jeśli nawet wszystko to było żartem, to żart ów jeszcze się nie skończył.

Firmie Richard przybył tego dnia do biura o jedenastej rano. Rémy, jego sekretarz, wręczył mu kilka listów, których nie otwierał, gdyż na kopertach widniał dopisek „prywatne”.

Jeden z tych listów natychmiast przyciągnął uwagę Richarda – nie tylko dlatego że adres na kopercie określono czerwonym atramentem, ale ponieważ wydało mu się także, iż pismo to już gdzieś widział. Nie długo szukał w pamięci: był to ten sam charakter pisma, jakim poczyniono niezwykle dopiski a księdze adiudykacyjnej Opery. Rozpoznał te same nierówne dziecięce litery. Otworzył list i przeczytał:

Szanowny dyrektorze

Zechce mi pan wybaczyć, iż zabieram mu cenny czas w chwilach tak ważnych, gdy decyduje się los najlepszych artystów opery, kiedy odnawia się jedne umowy i zawiera inne; i to z takim wyczuciem, zrozumieniem teatru, znajomością publiczności i jej gustów, aż mnie to zadziwiło mimo wieloletniego doświadczenia. Wiem o wszystkim co pan uczynił dla Carlotty, Sorelli, malej

Jammes oraz kilku innych, u których odgadł pan nadzwyczajne zalety, talent lub wręcz geniusz.

Pojmuje pan oczywiście, że słowa te nie dotyczą Carlotty, która nie powinna była opuszczać desek kabaretu, ani Sorelli, która największym powodzeniem cieszy się w gabinetach młodych panów, ani też malej Jammes, która przypomina cielę wypuszczone na łąkę. Nie dotyczy to również Krystyny Daaé o geniuszu niezaprzeczalnym, lecz odsuwanej zazdrośnie od każdej większej roli. Ma pan naturalnie prawo rządzić według własnego uznania, jednakże chciałbym skorzystać z tego że nie usunął pan jeszcze Krystyny Daaé, i usłyszeć ją dziś wieczorem w roli Siebla, skoro od dnia jej wspaniałego triumfu zakazaną ma rolę Małgorzaty. Poza tym proszę, aby pan zechciał nie wynajmować mojej łoży ani dzisiaj, ani też w dni następne.

Nieprzyjemnie bowiem zadziwiło mnie ostatnimi czasy, gdy przybywając do Opery dowiadywałem się, że łożę moją sprzedano z pańskiego polecenia.

Nie protestowałem, bo jestem wrogiem skandalu, a przy tym sądziłem, że poprzednicy pana, zawsze tak dla mnie uprzejmi, nie powiadomili go przed odejściem o moich drobnych dziwactwach. Otóż właśnie na moją prośbę o wyjaśnienia otrzymałem od panów Debienne'a i Poligny'ego odpowiedź dowodzącą, iż zna pan treść księgi adiudykacyjnej, a co za tym idzie – obraźliwie drwi sobie ze mnie. Jeśli pan chce żyć w zgodzie e mną, proszę nie odbierać mi mojej łoży!

Kreślę się z całym szacunkiem

Uniżony sługa

Upiór Opery.

Do listu dołączony był wycinek z „Revue théâtrale” następującej treści: Dla U.O. – Postępowanie panów R. i M. jest niewybaczalne. Zostali o wszystkim powiadomieni. Pozdrowienia.

Zaledwie Firmin Richard odczytał powyższy list, gdy do gabinetu wszedł Moncharmin z pismem identycznej treści. Popatrzyli na siebie wybuchając śmiechem.

- Żart dalej trwa – rzekł Richard. – Tylko że wcale już nie jest zabawny.
- Co to może znaczyć? – zastanowił się Moncharmin. – Czyżby oni sądzili że skoro byli dyrektorami, to my dożywotnio odstępimy im łożę?

Obaj przypuszczali bowiem, że listy są owocem krochotliwej zabawy ich poprzedników.
- Ani myślę pozwolić aby dłużej ze mnie kpiono! – oświadczył Richard.
- Ech, to niegroźne dowcipy – zauważył Moncharmin. – Bo czegoż właściwie chcą? Łoży na dzisiejsze przedstawienie.

Polecili zatem sekretarzowi posłać łożę numer 5 na pierwszym piętrze panom Debienne'owi i Poligny'emu.

Jeden z nich mieszkał przy bulwarze des Capucins, drugi przy rue Auber, obydwaj zaś listy upiора Opery nadano przy bulwarze des Capucins, co zauważył Moncharmin oglądając koperty.

- No widzisz! – skwitował Richard.

Wzruszyli obaj ramionami ubolewając nad ludźmi, którzy w tym wieku znajdują przyjemność w podobnych zabawach.

- Mogli jednak okazać więcej delikatności – zauważył Moncharmin. – Widziałeś jak się z nami

obeszli w związku z Carlottą, Sorelli i małą Jammes?

- Cóż chcesz, mój drogi, oni są chorzy z zazdrości. Pomyśl tylko, opłacili nawet ogłoszenie w „Revue”. Czyżby narzekali na brak zajęć?

- Zdaje się – powiedział jeszcze Moncharmin – że sporym zainteresowaniem darzą tę Daaé.

- Obaj dobrze wiemy że Krystyna ma jak najlepszą reputację...

- Reputacja roznija się często ze stanem faktycznym – odparł Armand Moncharmin. – Choćby ja: uchodzę za znawcę muzyki, a nie odróżniam klucza basowego od wiolinowego!

- Nie ciesz się, za znawcę muzyki nigdy cię nie uważano – zakończył rozmowę Richard, przystępując do urzędowania.

Dzień minął obu dyrektorom na załatwianiu spraw z artystami, odnawianiu kontraktów lub ich zrywaniu, wysłuchiwanie żalów i zapewnien wdzięczności, tak że znużeni wcześniej u dali się do domów nie zajrzawszy nawet do łoży numer 5, aby spytać swych szanownych poprzedników, jak też przedstawienie im się podoba.

Nazajutrz znaleźli w poczcie dwa listy, Jeden był od upiora Opery.

Szanowny Dyrektorze,

Serdeczne dzięki. Wieczór był uroczy, a Daaé doskonała. Trochę szwankują chóry. Carlotta jest przepysznym ale bardzo pospolitym instrumentem.

Napiszę do pana wkrótce w sprawie należnych mi 240 tysięcy franków, a właściwie 233 424,70, gdyż od panów Debieenne'a i Poligny'ego otrzymałem 6 575,30 jako za pierwsze dziesięć dni bieżącego miesiąca.

Sługa pański

U.O

Drugi list był od panów Debieenne'a i Poligny'ego:

Panowie,

Bardzośmy wam wdzięczni za ich uprzejme względy, lecz rozumiecie chyba, że choć przyjemność by nam sprawiło wysłuchać raz jeszcze „Fausta”, to nie zapominamy, iż nie mamy prawa korzystać z łoży numer 5 na pierwszym piętrze, należącej wyłącznie do tego, o którym mówiliśmy panom w dniu odejścia

przyjmijcie panowie wyrazy... itd.

- Ach, ci dwaj zaczynają mnie denerwować! – oświadczył porywczo Richard, targając ów list na kawałki.

Tego wieczoru łoża numer 5 na pierwszym piętrze została sprzedana.

Z rana dnia następnego Richard i Moncharmin znaleźli na biurkach raport inspektora dotyczący wydarzenia, jakie miało miejsce poprzedniego wieczoru w łoży numer 5 na pierwszym piętrze.

„Byłem zmuszony – brzmiał raport – dwa razy w ciągu przedstawienia uciec się do pomocy policji, aby opróżnić łoża numer 5 na pierwszym piętrze, w której widzowie zachowywali się wprost skandalicznie. Ze wszystkich stron rozlegały się głosy niezadowolenia i psycania protestującej publiczności. Mimo surowego napomnienia, ludzie ci po chwili znowu zaczęli się głośno śmiać, śpiewać, w ogóle robili wrażenie niezbyt normalnych. W końcu kazałem łoża opróżnić”.

- Proszę mi natychmiast przysłać inspektora – rozkazał Richard sekretarzowi.

Po chwili wezwany wszedł do gabinetu, lekko niespokojny.

- Proszę opowiedzieć wczorajsze zdarzenie – polecił krótko dyrektor. – Z czego właściwie ci ludzie się śmiali?

- Byli chyba po dobrym obiedzie, panie dyrektorze – odpowiedział inspektor – i bardziej usposobieni do żartów niż do słuchania muzyki. Weszli do łoży, ale zaraz z niej wyszli i zawołali bileterkę. Zapytali ją czy widzi kogoś w łoży, a kiedy zaprzeczyła, zaklinali się że wchodząc słyszeli jakiś głos, który oznajmił że łoża jest zajęta.

Moncharmin spojrział z uśmiechem na Richarda, ale ów nie śmiał się. Żart zaczynał go złościć na dobre

- A więc gdy ci panowie przyszedli do łoży, na pewno nie było w niej nikogo? – zapytał gniewnie po chwili milczenia.

- Nikogo, panie dyrektorze – przytaknął inspektor. – Ani w łoży po prawej, ani po lewej, przysięgam. Najwidoczniej stroili sobie żarty.

- A co powiedziała bileterka?

- Och! bileterka! Ona mówi, że to upiór Opery!

Tu inspektor roześmiał się drwiąco, ale zaraz się połapał, że uczynił głupstwo, bo zaledwie wymówił słowa: upiór Opery, oczy Richarda rozbłyły wściekłością.

- Przysłać mi natychmiast bileterkę! – polecił.

Inspektor chciał coś powiedzieć, lecz Richard zamknął mu usta groźnym: - Milczeć!

Po chwili jednak mrukliwie zapytał:

- Co to jest ten upiór Opery?

Ale inspektor nie był teraz w stanie wymówić słowa. z twarzy jego można było wyczytać, że nic o nim nie wie, a raczej nie chce wiedzieć.

- Widziałeś go pan?

Inspektor potrząsnął przecząco głową.

- To szkoda! wielka szkoda! – rzekł zimno dyrektor.

Inspektor szeroko otworzył oczy, pytając w ten sposób, dlaczego dyrektor wymówił owo złowróżbne – „Szkoda!”

127Szkoda, bo już ja się policzę z tymi, co go nie widzieli! – wyjaśnił Richard. – Skoro jest wszędzie, to trudno, żeby go moi pracownicy nie widywali. Lubię, żeby każdy wypełniał

swoje obowiązki.

Powiedziawszy to, Richard nie zwracał już uwagi na inspektora i zaczął mówić o różnych sprawach z przybyłym właśnie administratorem. Inspektor uznał więc, że może odejść, i powoli, powoli wycofał się ku drzwiom, kiedy Richard, spostrzegłszy jego manewr, przykuł go do miejsca gromkim

- Zostać tu!

Niebawem nadeszła sprowadzona bileterka Giri, będąca także konsjerżką w kamienicy opodal Opery.

- Jak się nazywacie?

- Giri, panie dyrektorze. Pan dyrektor przecież mnie zna. Jestem matką małej Meg.

Powiedziała to z takim przekonaniem, aż Richard zaniemówił na chwilę. Przyjrzał się dokładnie bileterce (w spłowiałym szalu na ramionach, zniszczonych butach, starej sukience, czarnym kapeluszu), lecz całe jego zachowanie wskazywało, że zupełnie sobie jej nie przypomina podobnie jak „małej Meg”.

- Nie znam was, kobieto – oświadczył w końcu dyrektor. – Co nie przeszkadza że chciałbym się dowiedzieć, co takiego zaszło wczoraj, że trzeba było wezwać na pomoc policję...

- Otóż to, otóż to, sama nawet chciałam panu dyrektorowi wszystko powiedzieć, żeby potem nie było jak z panami Debieenne’em i Polignym... Z początku oni mnie też nie słuchali...

- Nie o to pytam. Chcę wiedzieć, co się stało wczoraj wieczorem!

Giri poczerwieniała z oburzenia. takim tonem jeszcze nikt do niej nie mówił! Wstała zbierając fałdy sukni i z godnością potrząsając piórem przy kapeluszu, zreflektowała się jednak i rzekła szorstko:

- A stało się to, że upiór znowu nie miał spokoju.

Richard był bliski wybuchu, Moncharmin wmieszał się zatem i poprowadził dalej przesłuchanie, z którego wynikało, że pani Giri uważa za całkiem naturalne, iż głos jakiś odzywa się w pustej łozy, aby oznajmić czyjaś w niej obecność. Fenomen ów, nie będący dla niej nowością, potrafiła wytłumaczyć jedynie interwencją upióra. A upióra tego nikt w łozy nie widywał, wszyscy za to mogli go usłyszeć. Ona sama głos jego słyszała często i można jej Wierzyć bo nie kłamie nigdy. Wystarczy zapytać panów Debieenne’a i Poligny’ego, a także pana Saacka, któremu upiór złamał nogę.

- Co mi tu opowiadacie, moja Giri? – przerwał jej Moncharmin. – Upiór złamał nogę Saackowi? Giri otworzyła szeroko oczy, w których malowało się zdziwienie wobec takiej nieświadomości. Postanowiła jednak oświecić tych dwóch nieszczęśników. Rzecz miała miejsce za czasów panów Debieenne’a i Poligny’ego w łozy numer 5 na pierwszym piętrze podczas „Fausta”.

Bileterka odkaszlnęła, jakby się szykowała do odśpiewania solowej partii.

- A więc było tak – zaczęła. – Tego wieczoru w pierwszym rzędzie siedzieli państwo Monier, ci zamożni przemysłowcy, a za panią Monier miał miejsce ich dobry przyjaciel, pan Saack. Mefisto śpiewał właśnie (Giri również zanuciła): „ Ty co udajesz sen”, a tu pan Monier słyszy, jak ktoś szepce mu do prawego ucha (żona siedziała po lewej): „Ach! to chyba nie Julia udaje sen!” (żona jego ma właśnie na imię Julia). Pan Monier obrócił się na prawo, aby zobaczyć kto do niego mówi. Patrzy i nie widzi nikogo. Podrapał się w ucho i pomyślał: „, chyba mi się śniło?” tymczasem Mefistofeles śpiewał dalej. Ale może ja nudzę panów dyrektorów?

- Nie, nie, mówcie dalej, proszę...

- Panowie są bardzo uprzejmi – skrzywiła się Giri – A więc Mefistofeles śpiewał dalej (Giri też zanuciła 0 : „, Katarzyno uwielbiana, powiedz, dlaczego kochankowi na kolanach odmawiasz całusa słodkiego”. I pan Monier słyszy po prawej szepce: „, No, no Julia nie odmówiłaby całusa Saackowi!” Odwraca się w stronę żony i co widzi? Pan Saack trzyma jej rękę i okrywa ją

pocałunkami! no i wtedy to się dopiero zaczęło! Trzask! prask! Pan Monier, wysoki i silny jak, nie przymierzając, pan dyrektor Richard, spoliczkował pana Saacka, który jest mały i szczupły jak, za przeproszeniem, pan dyrektor Moncharmin. Co to się działo! Cała sala w krzyk.... W końcu pan Saack uciekł.

- Upiór nie złamał mu więc nogi – zauważył Moncharmin złośliwie, urażony uwagą bileterki tyjącą się jego fizycznych zalet.

- Złamał mu, proszę pana – odparła z godnością bileterka. – Złamał mu ją zupełnie, na głównych schodach, kiedy pan Saack po nich zbiegał!

- Czy to upiór osobiście powtórzył wam słowa szeptane do ucha pana Monier? – zapytał z komiczną powagą Moncharmin.

- Skądże znowu! Pan Monier.

- Ale mówiliście już z upiorem, moja kobieto?

- Jak teraz z panem.

- I cóż wam ten upiór wtedy powiada?

- Każe mi zawsze przynosić podnózek.

Na te uroczystym tonem wymówione słowa Richard wybuchnął śmiechem, a Moncharmin i sekretarz zawtórowali mu serdecznie.

Jedynie inspektor nauczony doświadczeniem, wołał nie wpadać w wesołość. Wsparty o ścianę zastanawiał się, nerwowo ściskając klucze w kieszeni, jak ta historia się zakończy. A im bardziej arogancko mówiła Giri, tym bardziej lękał się nawrotu wściekłości dyrektora. Bo oto widząc, że dyrekcja śmieje się do rozpuku, bileterka miała czelność przemówić z pogroźką w głosie!

- Zamiast się wysmiewać z upiora, panie dyrektorze – zawołała oburzona – należałoby uczynić jak pan Poligny, który sam się przekonał...

- Przekonał się o czym? – zapytał rozbawiony Moncharmin.

- O upiorze! O jego istnieniu!... Mówię przecie... Och! posłuchajcie tylko panowie – rzekła, nagle spokojna, bo uznała, że chwila jest poważna. – Było to na przedstawieniu „Żydówki”. Pan Poligny chciał je obejrzeć sam w łoży upiora. Pani Krauss odniosła wtedy wielki sukces. Kończyła właśnie arię z pierwszego aktu... panowie wiedzą... – Giri otworzyła usta, by przypomnieć dyrekcji słynną pieśń.

- Tak, tak, znamy – spiesznie przerwał jej Moncharmin. – I co dalej?

- No więc tak, gdy Leopold odpowiada jej „Uciekajmy”, a Eleazar zatrzymuje ich, zauważyłam z pustej łoży obok, jak pan Poligny zerwał się na równe nogi i sztywny jak posąg szybko wyszedł, tak że zdążyłam go tylko zapytać dokąd idzie. ale nie odpowiedział. Szedł jak we śnie, jak w złym śnie! Błady jak śmierć, i nie mógł znaleźć drogi choć przecie dobrze znał Operę. Giri umilkła i spojrzała po obecnych, aby ocenić wrażenie, jakie wywarła jej opowieść.

- To wszystko nie wyjaśnia jednak, kiedy i jak upiór prosił was, moja Giri, o podnózek – zauważył Moncharmin patrząc bileterce w oczy.

- No, to się zaczęło od tego wieczoru.... Bo odtąd zostawiono upiora w spokoju. Nikt mu już nie zajmował łoży, żeby miał tę łożę zawsze tylko dla siebie. I kiedy przychodził żądał ode mnie podnóżka...

- Hm! upiór żądający podnóżka? – mruknął Moncharmin. – Więc to pewnie kobieta?

- Nie, mężczyzna.

- A skąd wiecie moja Giri?

- Bo ma głos męski, bardzo dźwięczny męski głos. Przychodzi zwykle do Opery w połowie pierwszego aktu i trzy razy stuka w drzwi łoży. Kiedym pierwszy raz usłyszała to stukanie, a wiedziałam że nikogo nie ma, ależ byłam ciekawa! Wchodzę do środka, rozglądam się: pusto! Aż tu słyszę dalej: „Proszę się nie bać, to ja upiór Opery”. Popatrzyłam w stronę, skąd dochodził ten

głos, a taki był miły, że nic a nic się nie bałam. Głos panie dyrektorze, szedł od pierwszego fotela po prawej w pierwszym rzędzie. Tyle że nikogo nie było widać.

- Czy łoża po prawej była zajęta? – zapytał Moncharmin

- Nie, ani łoża siedem po prawej, ani trzy po lewej. Przedstawienie dopiero się zaczynało.

- I coście wtedy zrobili?

- A przyniosłam podnóżek. Na pewno nie dla siebie go chciał, tylko dla swojej pani, ale nigdy jej nie widziała ani słyszała!

Co? Okazuje się że upiór ma w dodatku żonę? spojrzenie dyrektorów przeniosło się z bileterki na inspektora, który z tyłu rozpaczliwie machał rękami, aby zwrócić na siebie uwagę, i wymownym gestem pukał się w czoło. Kobięcina zaś mówiła dalej, wychwalając teraz szczodrość upióra.

- Po przedstawieniu zawsze dostaję suty napiwek, ale odkąd znowu nie dają mu spokoju, odchodzi i nic nie zostawia...

- Pozwólcie no, moja Giri – przerwał Moncharmin – ale wytłumaczcie, w jaki sposób upiór wręcz wam napiwek?

- Zostawia pieniądze na stoliczku w łoży razem z programem, który mu przynoszę. Nieraz to nawet znajduję kwiaty, jakąś różyczkę z bukietu jego pani... bo na pewno przychodzi z panią, skoro zapomnieli kiedyś wachlarza!

- Ho, ho! upiór zapomniał wachlarza! I coście z tym wachlarzem zrobili?

- A co miałam zrobić? Oddałam mu następnym razem.

- Aaa! oddaliście? No i co?

- Pewnie go zabrał. po przedstawieniu zamiast wachlarza znalazłam pudełko czekoladek.

- Wystarczy już Giri, możecie odejść.

Gdy wyszła, Richard i Moncharmin oznajmili inspektorowi, że postanawiają zrezygnować z usług tej starej wariatki, po czym jego również odprawili. Następnie przekazali administratorowi, żeby rozliczył się definitywnie z inspektorem, kiedy zaś zostali sami, podzielili się myślą, która jednocześnie przysła obu do głowy: żeby rozejrzeć się w łoży numer 5 na pierwszym piętrze.

VI

CZARODZIEJSKIE SKRZYPCE

Krystyna Daaé, ofiara intryg, do których później wrócimy, nie święciła w Operze dalszych triumfów po owym słynnym przedstawieniu galowym. Słyszano ją raz u diuszesy de Zurych, gdzie wykonywała najpiękniejsze partie swojego repertuaru. Krytyka wyrażała się o niej z największym zachwytem. Jednakże po tym wieczorze Daaé stanowczo odrzuciła wszelkie zaproszenia. Nie tłumacząc się nawet, odmówiła udziału w koncercie na cele dobroczynne, choć wcześniej obiecała zaśpiewać. Postępowała tak jakby przestawała być panią swojego losu, jakby się bała nowego triumfu.

Dowiedziawszy się że hrabia de Chagny, aby sprawić przyjemność bratu, gorąco ją popiera u nowych dyrektorów, napisała do niego, dziękując za dotychczasowe względy i prosząc, żeby się nią więcej nie zajmował.

Jakież były przyczyny tak dziwnego zachowania? Jedni utrzymywali, że śpiewaczką powoduje nadmierna duma, inni twierdzili że to wielka skromność. Lecz w teatrze nie ma ludzi skromnych. Myślę, że Krystyna czuła lęk przed tym, co się jej niedawno przydarzyło, ba! przerażenie nawet, co jasno wynika z jej listu, który pokazał mi Pers. „Kiedy śpiewam sama siebie nie poznaję” – pisała.

Nie wychodziła nigdzie i na próżno Raoul de Chagny usiłował ją spotkać. Napisał do niej prosząc by pozwoliła sobie złożyć wizytę, i już rozpaczał, że nie otrzymuje odpowiedzi, gdy pewnego ranka przysłała mu bilecik tej treści :

Panie

Nigdy nie zapomniałam chłopca, który mi wyłowił szal z morza. Nie mogę się dłużej powstrzymać toteż pisze do Ciebie dziś, kiedy wyjeżdżam do Perros, dokąd wzywa mnie święty obowiązek. Jutro przypada rocznica śmierci mojego biednego ojca, którego dobrze znałeś i który tak Cię lubił. Pogrzebany jest w Perros ze swoimi skrzypcami na cmentarzu przy kościele, gdzie będąc dziećmi bawiliśmy się tak często, obok drogi na której, starsi trochę, ostatni raz widzieliśmy się przy pożegnaniu.

Po przeczytaniu bileciku Raoul ubrał się szybko, napisał kilka słów do brata tłumacząc mu nagły wyjazd i pospieszył na kolej, chcąc wyjechać z Paryża pierwszym pociągiem idącym w stronę Perros. Spóźnił się jednak i zniecierpliwiony i zły musiał czekać do wieczora. Dzień świtał gdy wysiadał na stacji w Lannion. Pobiegł do omnibusu odchodzącego do Perros-Guirec. W drodze dowiedział się, że poprzedniego wieczoru młoda kobieta, wyglądająca na paryżankę, wysiadła z pociągu i kazała się zawieść do gospody „Pod Zachodzącym Słońcem”. To mogła być tylko Krystyna. Przyjechała sama.

Raoul odetchnął z ulgą: będzie więc mógł się z nią rozmówić spokojnie na tym pustkowiu. Aby wyjaśnić, czym była Krystyna Daaé dla wicehrabiego de Chagny, trzeba rzucić okiem na jej przeszłość.

W małej wiosce niedaleko Uppsali żył pewien wieśniak ze swoją rodziną. W dni powszednie uprawiał rolę, w niedziele grał i śpiewał w kościele. Miał córeczkę, którą nim jeszcze nauczył czytać, zapoznał dokładnie z nutami. Ojciec Daaé był bowiem wielkim muzykiem, choć sam o tym chyba nie wiedział. Grał na skrzypcach z mistrzostwem, które zjednało mu sławę w całej Skandynawii.

Kiedy Krystyna miała lat sześć, zmarła jej matka. Wówczas ojciec, kochający tylko córkę i muzykę, sprzedał dom i ziemię i pojechał szukać sławy w Uppsali. Znalazł tam tylko nędzę. Wrócił tedy na wieś i chodził od jarmarku do jarmarku. On grał, ona śpiewała. Jednego razu usłyszał ten duet słynny profesor Valerius i zabrał ich ze sobą. Utrzymywał on że ojciec jest pierwszym muzykiem na świecie, a córka zapowiada się na wybitną śpiewaczkę.

Profesor Valerius zatroszczył się o kształcenie Krystyny, która w krótkim czasie poczyniła zadziwiające postępy. Przenosząc się do Francji, państwo Valerius zabrali starego Daaé z córką. Pani Valerius kochała dziewczynkę jak własne dziecko. Stary skrzypek zaś powoli gościł z

tęsknoty za krajem. W Paryżu nigdy nie wychodził. Żył jakby pogrążony we śnie ze swymi skrzypcami. Godzinami całymi zamykał się z córką w pokoju i grał, grał bez końca, podśpiewując z cicha. Nieco sił odzyskiwał dopiero latem, gdy wyjeżdżali do Perros, odległego zakątka Bretanii. lubił tamtejsze morze i często wygrywał tęskne melodie na plaży, a fale wówczas, twierdził, cichły, aby ich słuchać.

Raz, stęskniony za dawnym życiem, wyprosiwszy u pana Valerius pozwolenie, zabrał na kilka dni córkę i skrzypce i ruszył w obchód po okolicznych wioskach. Noce spędzali jak niegdyś, przytuleni do siebie na garstce słomy, i zrywali się ze świtem aby iść dalej.

Ludzie nie pojmowali kaprysu dostatnio ubranego starca, który odmawiał przyjmowania datków. Wędrowano za nim od wsi do wsi by posłuchać anielskiego śpiewu dziewczynki.

Jednego razu pewien chłopczyk, usłyszawszy cudny głos Krystyny, zmusił guwernantkę do pójścia za muzykami. Doszli tak aż do bezludnego miejsca na wybrzeżu, gdzie dał silny wicher, który uniósł zwiewny szal dziewczynki do morza. Krystyna krzyknęła i wyciągnęła ręce, a równocześnie dobiegły ją słowa:

- Poczekaj, panienko! ja zaraz szal przyniosę!

I ujrzała chłopczyka, który biegł co sił w nogach mimo krzyków i protestów guwernantki.

Wszedł do wody w ubraniu i przyniósł mokry szal. Śmiejąc się serdecznie, Krystyna ucałowała chłopca.

Był to Raoul de Chagny, spędzający z ciotką lato w Lannion. Odtąd dzieci widywały się codziennie. Na prośbę ciotki stary Daaé zgodził się udzielać lekcji gdy na skrzypcach małemu wicehrabiemu. W ten sposób Raoul nauczył się kochać te same melodie, co towarzyszyły dzieciństwu Krystyny.

Niekiedy wieczorem, po zachodzie słońca, stary muzyk siadał z dziećmi i przyciszonym głosem, by nie spłoszyć duchów, które wywoływał, opowiadał im piękne a straszne legendy Północy. Gdy przerywał, oczarowane dzieci prosiły: „Jeszcze!”

We wszystkich jego opowieściach występował zawsze Anioł Muzyki. Dzieci bez końca wypytywały, kim jest ów tajemniczy duch, a stary muzyk odpowiadał, że nie ma prawdziwego artysty na świecie, któremu by się Anioł Muzyki choć raz nie ukazał. Czasem przybywa już do kołyski dziecka, a niekiedy później, o wiele później. Jest niewidzialny, lecz daje się słyszeć duszom wybranym. Zjawia się w chwili najmniej oczekiwanej, a wówczas rozlegają się w uszach melodie cudne, nieziemskie, i śpiewa głos jakiś, którego nikt nie jest w stanie zapomnieć, jeśli go raz usłyszał. Osoby nawiedzone przez Anioła płoną wewnętrznym ogniem, wokoło zaś mówi się o nich że są geniuszami.

Mała Krystyna pytała ojca, czy słyszał Anioła, ale on trząśł smutno głową i odpowiadał:

- Ty go kiedyś usłyszysz. Gdy umrę i pójdę do nieba, przyślę ci go, obiecuję!

Nadeszła jesień, rozdzielając Krystynę i Raoula. Ponownie zobaczyli się dopiero trzy lata później, kiedy Raoul przyjechał do Perros. Profesor Valerius nie żył już. Stary Daaé serdecznie przywitał Raoula, lecz spotkanie z Krystyną rozczarowało wicehrabiego. Była zmieszana, a gdy później usiedli razem w ogrodzie, obydwójce czuli, że mówią nie to co chcieli. Tak bardzo się zmienili, że jedno nie poznawało drugiego. Ostrożni byli jak dyplomaci, a opowiadali sobie o błahostkach. Przy pożegnaniu Raoul powiedział: „Nigdy cię nie zapomnę Krystyno!” I odszedł żałując tych śmiałych słów, wiedział bowiem doskonale, że Krystyna Daaé nie może zostać żoną wicehrabiego de Chagny.

Krystyna zaś poszła do ojca.

- Nie uważasz, ojczu – powiedziała – że Raoul nie jest tak miły jak dawniej? nie lubię go teraz.

I starała się nie myśleć o nim, co przychodziło jej z trudem.

Rzuciła się zatem z pasją na doskonalenie swej sztuki, poświęcając jej cały czas. Czyniła

zadziwiający postępy, a słuchacze zapowiadali jej wspaniałą przyszłość. Wtedy to umarł stary Daaé i naraz jakby straciła razem z nim głos, duszę i geniusz. Talentu pozostało jej dosyć, by wstąpić do konserwatorium, gdzie nie zanadto się wyróżniała.

Kiedy Raoul po raz pierwszy usłyszał Krystynę w Operze, oczarowany był urodą towarzyski dziecięcych zabaw, zdziwiła go jednak pospolitość jej sztuki. Poszedł znowu posłuchać jak śpiewa. Chodził za nią za kulisy. Czekał przy wyjściu. Próbował zwrócić na siebie uwagę. Nieraz towarzyszył jej do samej garderoby, lecz ona go nie widziała. Nie widziała zresztą chyba nikogo. Była chodzącą obojętnością. Raoulowi sprawiało to ból; był nieśmiały i nie miał odwagi przyznać się przed sobą, że ją kocha. Aż nagle w ów wieczór galowy jej talent niespodziewanie rozbłysnął w całej pełni.

A potem rozległ się ten męski głos w jej garderobie: „Ty musisz mnie kochać!”

W garderobie zaś nikogo nie było...

Dlaczego się roześmiała, gdy powiedział: „Jestem tym chłopcem który niegdyś wyłowił pani szal z morza”? Czemu go nie poznała? I dlaczego przysłała mu potem list?

Jakże długa wydaje się ta droga.... Oto krzyż na rozstaju... a tam wrzosowisko, po którym hula wiatr... Ależ hałasuje ten wlokący się omnibus! Raoul poznaje chaty... pagórki... przydrożne drzewa.... Jeszcze jeden zakręt i będzie widać morze...

A więc zatrzymała się w gospodzie „Pod Zachodzący Słońcem”. Do licha! innej tu nie ma! Jak bardzo serce mu wali! Co Krystyna powie, gdy go zobaczy?

Pierwszą osobą, którą ujrzął wszedłszy do gospody, była matka Tricard. Poznała Raoula i zapytała natychmiast, co go tu sprowadza. Raoul zmieszał się i ledwie zdołał wykrztusić, iż przybył do Lannion za interesami, a będąc tak blisko Perros, gdzie przeżył tyle przyjemnych chwil, nie mógł się oprzeć chęci ujżenia raz jeszcze tych stron.

Mówił, a jakby na kogoś czekał. Kiedy zaś drzwi się otwarły, porwał się na nogi. Nie pomylił się: to ona! Stała przed nim uśmiechnięta, ani trochę nie zdziwiona. Twarz miała zarumienioną od szybkiego marszu.

Długo na siebie patrzyli bez słowa. Matka Tricard z wyrozumiałym uśmiechem taktownie zostawiła ich samych. Krystyna odezwała się pierwsza.

- Miałam przecucie, że cię tu zobaczę. Byłam na mszy w kaplicy i tam ktoś zapowiedział mi twój przyjazd.

- Kto? – spytał Raoul, ujmując w dłonie jej rączkę, której nie cofnęła.

- Mój zmarły ojciec.

W pokoju zaległo milczenie przerwane po chwili przez Raoula.

- Krystyno, czy powiedział ci też, że cię kocham i nie mogę bez ciebie żyć?

Dziewczyna zarumieniła się i odwróciła głowę. Odparła drżącym głosem:

- Oszalałeś chyba!

I wybuchnęła śmiechem dla dodania sobie kontenansu.

- Nie śmieję się Krystyno, ja nie żartuję.

- Nie po to cię wezwałam – rzekła na to z powagą – żeby słuchać podobnych rzeczy!

- No właśnie, „wezwałam mnie”, odgadłaś, że nie przyjmę obojętnie twojego listu i natychmiast przyjadę do Perros. Jakże mogłaś tak sądzić, jeśli nie przypuszczałaś, że cię kocham?

- Myślałam, że przypomną ci się nasze dziecięce zabawy, w których tak często brał udział mój ojciec.... Właściwie nie wiem, co myślałam... może źle zrobiłam... Tak nagle zjawiłeś się wtedy w mojej garderobie, że znalazłam się daleko, daleko w przeszłości i napisała do ciebie mała dziewczynka, jaką byłam wówczas, a która cieszyłaby się widząc przy sobie w chwili smutku i osamotnienia swojego małego kolegę....

Zapadła na chwilę cisza. Raoul w zachowaniu Krystyny wyczuwał coś nienaturalnego, choć nie

potrafił tego sprecyzować. Nie było w niej niechęci.... zrozpaczona życzliwość w jej oczach jasno mu to uświadomiła. Dlaczego jednak życzliwość ta był zrozpaczona?...

Tego pragnął się dowiedzieć, bo zaczynało go to drażnić.

- Powiedz, Krystyno, czy wtedy w garderobie zobaczyłaś mnie pierwszy raz?

- Nie! już wcześniej widywałam cię w łóży brata.

- Tak przypuszczałem! - rzekł Raoul zaciskając usta. - Dlaczego więc, kiedy ci przypomniałem, kim jestem, odpowiedziałaś jak nieznanemu i tak dziwnie się zaśmiałaś?

Słowa te zabrzmiały ostro, aż Krystyna popatrzyła zdziwiona na Raoula. On sam zaskoczony był, że oto urządza jej awanturę niby zdradzony mąż czy kochanek. Jeszcze bardziej rozdrażniło go własne zachowanie, czuł się śmieszny - postanowił zatem iść dalej tą drogą, aż Krystyna poczuje do niego odrazę.

- Nie odpowiadasz! - mówił, zły i nieszczęśliwy. - Ja więc odpowiem za ciebie! Bo był wtedy w garderobie ktoś, kto cię krepował.... komu nie chciałaś pokazać, że możesz się interesować kimś innym!...

- Jeżeli ktoś mnie krepował, mój drogi - przerwała mu lodowatym tonem - to wyłącznie ty, bo tobie kazałam wyjść!

- Owszem! żeby zostać z tamtym!...

- Co ty opowiadasz? - spytała Krystyna, ciężko oddychając. - O kim mówisz?

- O tym, któremu powiedziałaś: „Śpiewam tylko dla ciebie! Dzisiaj duszę ci oddałam!”

Krystyna chwyciła Raoula za rękę, ściskając ją z niezwykłą u tak delikatnej istoty siłą.

- Podśluchiwałaś więc pod drzwiami?

- Tak! Bo cię kocham... I słyszałem wszystko...

- Co słyszałeś?

I nagle, na powrót dziwnie spokojna, puściła rękę Raoula.

- Powiedział ci: „Ty musisz mnie kochać”.

Na te słowa twarz Krystyny okryła się bledością... zachwiała się na nogach. Raoul rzucił się, by ją podtrzymać, lecz ona już pokonała słabość i cichym, gasnącym niema głosem poprosiła:

- Mów! mów, co jeszcze słyszałeś!

Raoul zawahał się, nie rozumiejąc co się dzieje.

- No mówże! Nie widzisz, że mnie zabijasz?

- Słyszałem jeszcze jego odpowiedź: „Piękną masz duszę moje dziecko. Żaden monarcha nie otrzymał nigdy w darze podobnego skarbu!... Aniołowie dzisiaj płakali”.

Krystyna ręką przycisnęła serce i nieopisanie wzburzona patrzyła na Raoula. Wzrok miała tak przenikliwy, tak nieruchomy jak u obłąkanej. Raoul poczuł strach, lecz nagle oczy Krystyny zwilgotniały i po jej bladych policzkach stoczyły się dwie ciężkie łzy.

- Krystyno!...

Chciał ją zatrzymać, ale wymknęła mu się z rąk i uciekła wstrząśnięta.

Kiedy Raoul został sam, jał wyrzucać sobie brutalność, równocześnie wróciło jednak uczucie zazdrości. Skoro Krystyna okazała takie poruszenie dowiadując się, iż poznał jej sekret, znaczy to, że sekret ów ma wielką wagę! Nie wątpił wszakże w jej czystość.

Odpowiedziała przecież tamtemu, że duszę mu oddała, a chodziło oczywiście o śpiew.

Oczywiście? Skąd więc takie poruszenie? Jakże Raoul czuł się szczęśliwy! Och, gdyby dopadł tego człowieka, tego męskiego głosu, zażądał by natychmiast wyjaśnień.

Cierpiał, że mijają chwile, które mógł razem z Krystyną spędzić w miejscach bliskich obydwojgu. Wiedział, że z rana była w kaplicy i na cmentarzu gdzie spoczywał jej ojciec.

Smutny i zniechęcony poszedł więc na cmentarz. Długą chwilę błądził między nagrobkami odczytując napisy, gdy nagle znalazł to czego szukał, ujrzawszy grób przysypany czerwonymi

różami. Był to jak gdyby promyk życia tam gdzie niepodzielnie królowała śmierć. Była wszędzie, bo nawet ziemia wyrzucała ze swego wnętrza kości i czaszki. Leżały w wielkim stosie pod murem kaplicy, przytrzymywane cienką siatką drucianą. Porządnie poukładane trupie czaszki, popodpierane zbielełymi kośćmi, wydawały się tworzyć fundament, na którym wzniesiono mury kaplicy. Drzwi kaplicy zaś otwierały się pośród tego stosu.

Panujący tam nastrój niemile usposobił Raoula; wyszedł z cmentarza i usiadł na wzgórzu wnoszącym się nad morzem. Wiatr hulał po wybrzeżu, jakby chciał przegonić nieśmiałe światło dnia. Dzień wreszcie ustąpił, a wtedy wiatr ucichł. Noc zapadła, otaczając Raoula zimnymi cieniami, on jednak nie czuł chłodu. Myśl jego opanowała zupełnie przeszłość. Ileż to razy o wieczornej porze siadywali na tym wzgórzu z Krystyną i czekali, aż dokładnie w chwili, kiedy wszędzie księżyc, ukażą się korrigany, bretońskie duszki! On nigdy ich nie zobaczył, Krystyna za to utrzymywała, że widziała ich mnóstwo.

Uśmiechnął się smutno na to wspomnienie. Nagle drgnął. Wyrosły nie wiadomo skąd ludzki cień stanął obok niego.

- Myślisz, że korrigany przyjdą dzisiaj? – zapytał głos

Była to Krystyna.

Zerwał się i chciał coś powiedzieć, ale ona dłonią w rękawiczce zakryła mu usta.

- Posłuchaj, Raoulu, postanowiłam ci powiedzieć coś bardzo, bardzo ważnego.

Głos jej drżał silnie.

- Czy pamiętasz legendę o Aniele Muzyki? – spytała

- Jakżeby nie! Przecież chyba właśnie tutaj twój ojciec opowiedział nam ją pierwszy raz.

- Tutaj też obiecał mi: „Gdy umrę i pójdę do nieba, przyślę ci go”. Raoulu, mój ojciec dotrzymał przyrzeczenia! Był u mnie Anioł Muzyki!

- Nie wątpię – odrzekł poważnie młodzieniec w przekonaniu, że Krystyna łączy wspomnienie o ojcu z triumfem w Operze. Ona zaś z lekkim zdziwieniem przyjęła spokojną odpowiedź przyjaciela.

- Jak ty to pojmujesz? – zapytała, przysuwając swą bladą twarz tak blisko, jakby chciała go pocałować. Pragnęła jednak tylko zająrzeć mu pomimo ciemności w oczy.

- Żadna istota ludzka nie byłaby w stanie zaśpiewać tak, jak ty wtedy, nie doświadczając jakiegoś niezmiernego natchnienia. Nie ma na świecie profesora, który mógłby nauczyć takiego śpiewu. Usłyszałaś Anioła Muzyki.

- Tak – odpowiedziała uroczyście – w mojej garderobie. Przychodzi tam codziennie dawać mi lekcje.

Dźwięk jej głosu był tak niezwykle i przenikliwy, że Raoul spojrzał na nią z niepokojem, z jakim się patrzy na osobę chorą, wierzącą niezachwianie w jakieś urojenia.

- W twojej garderobie? – powtórzył jak echo.

- Tak... tam go usłyszałam, i nie ja jedna...

- A kto więcej?

- Ty!

- Ja? Ja słyszałam Anioła Muzyki?

- Tak, tamtego wieczoru, kiedy podsłuchiwałam pod drzwiami. To właśnie on mówił: „Musisz mnie kochać”. Ale sądziłam, że tylko ja go słyszę. Toteż pojmujesz, jaka byłam zdziwiona, gdy dzisiaj dowiedziałam się, że i do ciebie doszły jego słowa...

Raoul wybuchnął śmiechem. Urażona Krystyna odwróciła się do niego, a oczy jej, zwykle tak łagodne, rzucały gniewne błyski.

- Z czego się śmiejesz? Pewno sądzisz, że to był głos mężczyzny?

- Hm... do licha! – odparł Raoul, czując w głowie zamęt na widok tak bojowej postawy Krystyny.
- I to ty Raoulu? Ty, mój dawny towarzysz zabaw, podejrzewasz, że ja się zamykam z mężczyzną w garderobie? Ja jestem uczciwą dziewczyną, panie hrabio de Chagny! Gdybyś wtedy otworzył drzwi, przekonałbyś się że nie było tam nikogo!

- To prawda! Kiedy wyszłaś z garderoby, nie znalazłem w niej nikogo.

- Sam widzisz... A więc?

Wicehrabia przywołał na pomoc całą odwagę.

- A więc przypuszczam, że ktoś sobie z ciebie kpi!

Krystyna krzyknęła i rzuciła się do ucieczki. Raoul chciał ją zatrzymać, ale z gniewem zawołała:

- Zostaw mnie! Zostaw!

Wrócił do oberży zniechęcony i smutny. Powiedziano mu, że Krystyna udała się do swojego pokoju i oznajmiła, że nie zejdzie na kolację.

Posiliwszy się w samotności, Raoul próbował najpierw poczytać a potem zasnąć. Z pokoju Krystyny, położonego obok, nie dobiegał żaden dźwięk. Co robiła? Czy poszła spać? A może rozmyślała? O czym? A o czym myślał Raoul? Sam nie potrafiłby powiedzieć. Ta rozmowa na wzgórzu głęboko go wzburzyła. Myśli jego nie tyle dotyczyły śpiewaczki, co krążyły wokół niej, a owo „wokół” było tak mgliste, nieuchwytnie, aż Raoula ogarnął dziwny niepokój.

Powoli mijala godzina za godziną. Mogło być około wpół do dwunastej... gdy za ścianą rozległ się wyraźny dźwięk lekkich kroków. Nie zastanawiając się nad tym co robi, Raoul w pośpiechu ubrał się bezszelestnie i gotowy, czekał. Gotowy na co? Sam nie wiedział. Serce uderzyło mu silniej, kiedy usłyszał, że drzwi od pokoju Krystyny otwierają się cicho. Gdzie o tak późnej porze mogła się wybierać? Ostrożnie wyjrzał na korytarz i w blasku księżyca zobaczył, jak Krystyna przemyka się ku schodom.

Zeszła na dół, a potem w ciszy zalegającej gospodę dobiegły go słowa: „Tylko niech pani klucza nie zgubi!” Ktoś otworzył drzwi od ulicy i zamknął je, po czym zapanował spokój.

Raoul wrócił szybko do pokoju i wyjrzał oknem. Na pustym brzegu widział białą postać śpiewaczki. Bez zastanowienia wydostał się na drzewo rosnące pod jego oknem i zsunął się na dół.

Nazajutrz rano znaleziono go na wpół zamrożonego na stopniach miejscowego kościółka i przyniesiono do gospody. Przerazona jej właścicielka natychmiast powiadomiła o tym Krystynę. Pomagając sobie wzajemnie, obie kobiety wkrótce zdołały Raoula przywrócić do przytomności. Co takiego wydarzyło się tamtej nocy? W kilka tygodni później, gdy tragedia w Operze zwróciła uwagę władz, komisarz policji, niejaki Mifroid, miał sposobność wypytać o to młodego wicehrabiego. Oto autentyczny ustęp z protokołu:

Pytanie. – Czy panna Daaé widziała, jak pan wychodził z pokoju tą niezwykłą drogą?

Odpowiedź. – Nie, panie komisarzu, choć wcale się nie skradałem. Chciałem żeby się odwróciła i zobaczyła mnie, bo zdawałem sobie sprawę, że postępuję jak szpieg. Ale ona zachowywała się, jakby mnie tam nie było. Stała na brzegu, a potem zawróciła. Zegar na wieży wybił trzy kwadransy na dwunastą i wtedy Krystyna przyspieszyła, prawie biegła. Tak dotarła do bramy cmentarza.

P. – Czy brama była otwarta?

O. – Tak, i mnie to zastanowiło, choć panna Daaé wcale nie była tym zdziwiona.

P. – Czy był ktoś na cmentarzu?

O. – Nie widziałem nikogo, a gdyby ktoś był, musiałbym go zobaczyć. Świecił księżyc i na ziemni był śnieg, więc noc była bardzo jasna.

P. – Czy nie można się było ukryć za grobowcami?

O. – Nie, tam są tylko płyty nagrobne, niewidoczne prawie pod śniegiem. Kiedy popatrzyłem na

kaplicę, otaczała ją cała – poświata. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego nocnego światła. Było to bardzo piękne, ale i dziwne.

P. – Czy pan jest zabobonny, panie hrabio?

O. – Nie.

P. – A w jakim stanie ducha był pan wtedy?

O. – Zupełnie trzeźwy i spokojny. Oczywiście nagle nocna wycieczka panny Daaé poruszyła mnie w pierwszej chwili, ale gdy zobaczyłem że idzie na cmentarz, uspokoiłem się: przekonany że spełnia jakiś ślub przy grobie ojca, nie widziałem w tym nic nadzwyczajnego. Dziwiło mnie tylko że nie usłyszała moich kroków, bo śnieg dość mocno skrzypiał mi pod nogami. Widocznie jednak była bardzo przejęta. Postanowiłem jej nie przeszkadzać i trzymałem się o kilka kroków w tyle... Krystyna podeszła do grobu ojca i uklękła.

Wybiła akurat północ. Jeszcze nie przebrzmiały uderzenia zegara, gdy Krystyna wyciągnęła ręce do góry i wpatrzyła się w niebo. Wyglądała jak w ekstazie. Zastanawiałem się, co też mogło być tego przyczyną. Spojrzałem i ja do góry... I wtedy usłyszałem muzykę. Ktoś niewidzialny grał dla nas! I jak grał! Znaliśmy już i ja, i Krystyna tę melodię... Grywał ją na skrzypcach stary Daaé, ale daleko mu było do tak boskich tonów...

W tamtej chwili przypomniałem sobie, co mi Krystyna mówiła o Aniele Muzyki, i nie bardzo już wiedziałem co myśleć o tych nieziemskich dźwiękach. To było „Zmartwychwstanie Łazarza”. Nie pamiętam dobrze, gdzie błędziła i na czym się zatrzymała moja wyobraźnia, gdy tak stałem na starym cmentarzysku, a dokoła trupie czaszki szczyrzyły zęby w uśmiechu.

Muzyka w końcu ucichła, a ja wróciłem do przytomności. I wtedy zdało mi się, że słyszę jakiś szmer w okolicy stosu ludzkich szczątków.

P. – A! usłyszał pan szmer?

O. – Tak.

P. – I nie przyszło panu na myśl, że może tam właśnie ukrywa się ten nieziemski muzyk?

O. – Przyszło mi namyśl, i to do tego stopnia, że zapomniałem ruszyć za panną Daaé, kiedy podniosła się z klęczek i spokojnie poszła z powrotem. Była tak zamyślona, że i wtedy nie zauważyła mnie. Ja zaś tkwiłem w miejscu, wpatrzony w stos szczątków i zdecydowany na wszystko, byle znaleźć rozwiązanie tej niewiarygodnej historii.

P. – I co takiego zaszło, że rano znaleziono pana półżywego na stopniach ołtarza?

O. – To było tak nagle... W pewnej chwili czaszka potoczyła się do moich nóg, potem druga... trzecia... Ktoś najwidoczniej poruszył starannie ułożony stos kości. Potem cień jakiś przesunął się po jasno oświetlonej ścianie zakrystii. Skoczyłem za nim. Cień już wchodził do kościoła! Ubrany był w długi ciemny płaszcz. Dogoniłem go i chwyciłem za kraj płaszcza. Staliśmy akurat przed głównym ołtarzem, a promienie księżyca padały przez witraże prosto na nas. Ponieważ trzymałem mocno za płaszcz, cień odwrócił się do mnie i wtedy ujrzałem, tak jak pana teraz widzę, panie komisarzu, okropną trupa czaszkę, która wpatrywała się we mnie płonącym jak ogień wzrokiem. Myślałem, że to sam szatan, i ogarnęło mnie takie przerażenie, że straciłem przytomność i nic więcej nie pamiętam do chwili, gdy się ocknąłem w gospodzie.

VII

WIZYTA W ŁOŻY NUMER 5

Opuściliśmy panów Richarda i Moncharmina w chwili, kiedy postanowili obejrzeć łożę numer 5 na pierwszym piętrze.

Zeszli po szerokich schodach prowadzących od korytarza administracji do kulis i sceny, potem przebyli scenę. Precyzyjnie się między pierwszymi rzędami foteli orkiestry i stamtąd popatrzyli na łożę numer 5 na pierwszym piętrze. Nie widzieli jej dokładnie, bo panował półmrok, a w dodatku na czerwony aksamit parapetu narzucono wielki pokrowiec.

Wszędzie panowała głęboka cisza. Maszyniści mieli akurat przerwę. Robotnicy zostawili na scenie częściowo ustawione dekoracje. Przez jakiś otwór, nie wiadomo skąd, wpadało nieco światła, bladego, posępnego. Wszystkie przedmioty nabierały w nim jakichś dziwnych kształtów. Płótno okrywające fotele orkiestry było jak wzburzone morze, którego fale znieruchomiały raptem na rozkaz wszechwładnego pana burz. Moncharmin i Richard przedzierali się ku łożom po lewej niby rozbitkowie szukający brzegu. Z góry posągi zdobiące Operę z szyderczym grymasem spoglądały na dyrektorów, drwiąc z ich niepokoju. Stanęli wreszcie i w milczeniu przyglądali się łożu numer 5 na pierwszym piętrze.

Powiedziałem, że byli niespokojni. Tak sędzę przynajmniej. W każdym razie Moncharmin wyznaje, że był pod wrażeniem. Mówi bowiem w swoich pamiętnikach: „Te brednie o upiorze, jakimi nas prześladowano, odkąd objęliśmy zarząd Opery, niewątpliwie rzuciły mi się na wyobraźnię, a także na wzrok – a może to wyjątkowe otoczenie, w jakim się znaleźliśmy, niewiarygodna cisza, tak na nas podziałały? może za sprawą półmroku padliśmy ofiarą halucynacji? – nagle bowiem ujrzeliśmy w łożu numer 5 czyjś cień. Nie wyrzekliśmy obaj ani słowa. Staliśmy bez ruchu kilka chwil, wpatrując się w ten sam punkt; potem cień zniknął. Wyszliśmy wtedy i w korytarzu podzieliliśmy się wrażeniami na temat cienia. Problem w tym, że widzieliśmy dwa różne cienie. Ja ujrzałem jakby trupa czaszkę wspartą na parapecie łoża, Richard zaś sylwetkę starej kobiety, podobnej do bileterki Giri. Toteż uznaliśmy że wszystko to było grą wyobraźni i ze śmiechem pospieszyliśmy na pierwsze piętro do łoża numer 5, gdzie oczywiście nie zastaliśmy nikogo”.

Łoża numer 5 niczym się nie różniła od sąsiednich. Dyrektorowie głośno się śmiejąc przesuwali fotele, zaglądali pod nie, podnosili pokrowce, a nader uważnie obejrzeni ten, z którego zwykle odzywał się głos. Stwierdzili jednak, że to porządny fotel i niczego w nim nie ma niezwykłego. Zeszli potem jeszcze do łoża na parterze, leżącej dokładnie pod łożem numer 5 na piętrze, ale i tam nie znaleźli nic szczególnego.

- Oni wszyscy kpią sobie z nas – rzekł wreszcie Richard. – W sobotę gramy „Fausta”. Obejrzymy razem przedstawienie w łożu numer 5 na pierwszym piętrze!

**O TYM, JAK PANOWIE RICHARD I MONCHARMIN OŚMIELILI SIĘ WYSTAWIĆ
„FAUSTA” W SALI „PRZEKLĘTEJ” I CO Z TEGO WYNIKŁO**

Lecz w sobotę rano obaj dyrektorowie znaleźli na swoich biurkach dwa jednakowe listy od U.O., brzmiące jak następuje:

Szanowny Dyrektorze!

Czyżby wojna? Jeśli zależy panu jeszcze na pokoju, oto moje ultimatum. Stawiam cztery warunki:

natychmiast otrzymam z powrotem lożę do mojego wyłącznego użytku,

rolę Małgorzaty zaśpiewa dzisiaj Krystyna Daaé; nie martwcie się o Carlottę, będzie niedysponowana,

żądam, aby bileterka Giri objęła na powrót swoje obowiązki,

proszę mnie powiadomić listownie, za pośrednictwem bileterki Giri, że godzą się panowie, podobnie jak ich poprzednicy, na warunki dotyczące mojej należności miesięcznej. Sposób przekazania pieniędzy zakomunikuję panom później.

W przeciwnym razie dzisiejsze przedstawienie „Fausta” odbędzie się w sali przeklętej.

Ukłony mądrej głowie!

U.O

Richard nie zdołał jeszcze ochłonąć po przeczytaniu tego listu, gdy do kancelarii wszedł administrator Mercier.

- Lachenal chciałby mówić z którymś z panów dyrektorów. Zdaje się że to pilne, bo wygląda na mocno zdenerwowanego.

- Któż to jest Lachenal? – zapytał Richard.
- Nasz pierwszy masztalerz.
- Nasz pierwszy masztalerz?
- Tak, panie dyrektorze – wyjaśnił Mercier – mamy w Operze kilku masztalerzy, a Lachenal jest ich przełożonym.
- A cóż robi ten masztalerz?
- Zarządza stajnią.
- Jaką stajnią?
- Naszą, panie dyrektorze, stajnią Opery.
- W Operze jest stajnia? Pierwsze słyszę. A gdzież ona się znajduje?
- W podziemiach od strony rotundy. Mamy tam dwanaście koni.
- Dwanaście koni! Wielki Boże, i na co to?!
- Ależ potrzebne są na przykład do „Żydówki”, „Proroka”... To muszą być konie ujeżdżone i obeznane ze sceną. Masztalerze mają je tego uczyć. Lachenal świetnie się na tym zna.
- Bardzo dobrze... ale czego on chce ode mnie?
- Nie mam pojęcia. Nigdy go nie widziałem w takim stanie.
- Każ go pan wprowadzić

Po chwili wszedł Lachenal, nerwowo smagając szpicruta wysokie cholewy butów.

- Panie dyrektorze – zaczął – przychodzę prosić, żeby natychmiast wyrzucono całą stajnię!
- Co? Chcesz pan wyrzucić konie?
- Nie chodzi o konie, tylko o stajennych.
- Iluż ich pan ma?
- Sześciu!
- Sześciu! To przynajmniej o dwóch za dużo...

- To są posady – przerwał Mercier – utworzone i narzucone nam przez podsekretariat sztuk pięknych. Zajmują je protegowani rządu i ośmielam się zwrócić uwagę...

- Rząd! Kpię sobie z niego – energicznie oświadczył Richard. – Czterech masztalerzy w zupełności wystarczy do dwunastu koni.

- Jedenastu – poprawił Lachenal.

- Dwunastu! – powtórzył Richard. – Administrator mówił, że jest dwanaście koni.

- Było dwanaście, dopóki nie ukradziono Cezara.

I Lachenal mocno smagnął szpicrutą cholewę buta.

- Ukradzono nam Cezara?! – zawołał administrator. – Cezara? Białego konia z „Proroka”?

- Nie ma dwóch Cezarów! – suchym tonem oznajmił pierwszy masztalerz. – Dziesięć lat byłem w stajniach Franconiego i koni sporo widziałem, ale drugiego jak Cezar – nie. Ktoś go ukraść.

- Jak to się stało?

- A czy ja wiem? Nikt nic nie wie! Dlatego właśnie przychodzę prosić, żeby całą stajnię... za drzwi!

- A co mówią masztalerze?

- Same bzdury... Jedni oskarżają statystów, inni odźwiernego...

- Odźwiernego? Za niego to ja ręczę jak za samego siebie! – zaprotestował Mercier.

- Chyba jednak – rzekł Richard – ma pan jakieś podejrzenia Lachenal?

128I owszem! Mam! – oświadczył masztalarz. – Powiem panu, dyrektorze, bo nie wątpię – i tu nachylił się do ucha Richarda – że to sprawka upiora Opéry!

Richard wzdrygnął się.

- Ach! I pan też!

- Co ja też? Normalnie w końcu...

- Jakże to, Lachenal?!

- ... że mówię, co myślę po tym, co widziałem...

- A coś pan takiego widział?

- Widziałem, tak jak teraz widzę pana dyrektora, czarny cień, który dosiadł białego konia podobnego kropka w kropkę do naszego Cezara.

- I nie pobiegłeś pan za tym cieniem i białym koniem?

- Pobiegłem i wołałem, panie dyrektorze, ale za szybko uciekali i potem znikli w ciemnym korytarzu.

Dyrektor Richard powstał.

- Rozumiem, Lachenal – rzekł – może pan odejść... Złożymy skargę na upiora...

- I wyrzuci pan dyrektor moich masztalerzy?
- Ma się rozumieć. Żegnam.

Lachenal skłonił się i wyszedł.

- Rozliczyć mi się zaraz z tym durniem, Mercier! – gniewnie wydyszał Richard. – Nie chcę go więcej widzieć!

130Panie dyrektorze! to przyjaciel komisarza rządowego! – ośmielił się zwrócić uwagę administrator. – i bywa w liczących się sferach.... Jeśli opowie dziennikarzom o upiorze, dopiero będziemy się mieli z pyszna!

- Hm... skoro tak... – ustąpił Richard, myśląc już o czym innym.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do gabinetu bezceremonialnie wkroczyła szacowna jejmość Giri z jakimś listem w ręku.

- Przepraszam najmocniej pana dyrektora – zaczęła – ale dostałam rano list od upiora Opery. Kazał mi przyjść do pana dyrektora, bo podobno mam...

Nie dokończyła zdania. Spojrzała bowiem na twarz Richarda i przeraziła się. Dyrektor wyglądał, jakby miał zaraz pęknąć. Przepęniająca go wściekłość uwidoczniła się w purpurowej barwie twarzy i błysku w oczach. Milczał, bo nie mógł słowa wykrztusić. Ale naraz poruszył się. Lewą ręką złapał bileterkę za ramię i wykonał nią klasyczny półobrót, aż Giri rozpaczliwie krzyknęła, po czym jego prawa stopa spoczęła na taftowej spódnicy, która nigdy jeszcze w tym miejscu tak obraźliwego dotknięcia nie zaznała. Stało się to tak nagle, że szacowna niewiasta oprzytomniała na korytarzu. Wtedy dopiero zorientowała się w sytuacji i napełniła cały gmach Opery wrzaskami oburzenia, dzikimi protestami. Trzeba było pomocy aż trzech maszynistów, by ją cokolwiek uspokoić, a dwóch policjantów, żeby ją wyprowadzić na ulicę.

Prawie o tej samej porze Carlotta, mieszkająca przy ulicy Saint – Honoré, czytała przyniesioną jej przez pannę służącą poranną pocztę. Wśród listów znalazła anonim zawierający te oto słowa:

Strzeż się! bo jeżeli dzisiaj będziesz śpiewać, spotka cię nieszczęście... Nieszczęście straszniejsze od śmierci...

Groźba ta skreślona była czerwonym atramentem, pismem chwiejnym, niewyraźnym.

Przeczytawszy list, Carlotta straciła apetyt. Odsunęła tacę ze śniadaniem, usiadła na łóżku i namyśliła się głęboko. Nie po raz pierwszy otrzymała list tego rodzaju, ale żaden nie był tak groźny.

Carlotta uważała się za ofiarę zazdrości i opowiadała o tajemniczym wrogu, który poprzysiągł jej zgubę. Utrzymywała, że zawiązano przeciwko niej intrygę, spisek mający wybuchnąć niebawem; ona jednak nie jest z tych co dadzą się zastraszyć, dodawała.

A prawda jest taka, że jeśli zawiązano spisek, to zrobiła to właśnie Carlotta przeciwko niczego nie podejrzewającej Daaé. Nie wybaczyła jej bowiem triumfu owego wieczoru, kiedy Krystyna dublowała ją w „Fauście”. Skoro się o tym dowiedziała, natychmiast przeszły jej wszelkie dolegliwości i fochy. Zaraz też z wielką energią zajęła się „uciszeniem rywalki”, za pośrednictwem wpływowych przyjaciół zmuszając dyrektorów, by nie dali więcej Daaé okazji do triumfu. Gazety, które zaczynały już okrzykiwać talent Krystyny, zajęły się na powrót wyłącznie Carlottą, nie mającą odtąd żadnych skrupułów.

Śpiewała pięknie, lecz była tylko instrumentem o doskonałym brzmieniu. Nie potrafiła wznieść się na wyżyny sztuki, gdzie nieliczni jedynie sięgają, doskonale za to radziła sobie, gdy trzeba było bronić swojej pozycji diwy. Toteż w teatrze obmawiała Daaé zgoła niewybrednie i dokuczała jej, jak tylko mogła.

Kiedy ocknęła się z zamyślenia po przeczytaniu anonimu z pogrózką, wstała i zaczęła się ubierać.

- Jeszcze zobaczymy – powiedziała. I dodała po hiszpańsku jakieś zakłęcie.

Pierwszą rzeczą jaką zauważyła wyjrzawszy oknem, był karawan. A to ją przekonało ostatecznie, iż w rzeczy samej wisi nad nią poważne niebezpieczeństwo. Zwołała zatem do siebie przyjaciół i przyjaciół, powiadomiła ich, że grozi jej na wieczornym przedstawieniu spisek zorganizowany przez Daaé, w związku z czym na widowni powinno się znaleźć jak najwięcej admiratorów jaj Carlotty, aby w razie czego udaremnić wywołanie skandalu.

Sekretarz dyrektora Richarda, przybyły potem, żeby zasięgnąć wieści o jej zdrowiu, odszedł z zapewnieniem diwy, iż miewa się doskonale i „nawet konająca” będzie wieczorem śpiewać partię Małgorzaty.

Była godzina piąta, kiedy Carlotta otrzymała drugi anonim pisany tą samą ręką i jeszcze bardziej lakoniczny: „Pani jest przeziębiona. Najrozsądniej byłoby dzisiaj nie śpiewać”.

Carlotta roześmiała się i wzruszyła ramionami, po czym popróbowwała głosu, co ją ostatecznie uspokoiło.

Przyjaciele Carlotty dotrzykali obietnicy i zjawili się jak jeden mąż na przedstawieniu, ale na próżno szukali wokół owych okrutnych spiskowców. Nic nie wskazywało, aby się kryli pośród stałych bywalców Opery lub dobroduszych mieszczan. Jedyne, co było niezwykle, to obecność dyrektorów Richarda i Moncharmina w łoży numer 5 na pierwszym piętrze.

Zaledwie rozbrzmiały pierwsze wezwania doktora Fausta skierowane do mocy piekielnych, gdy Firmin Richard, siedzący w fotelu upióra – po prawej w pierwszym rzędzie – nachylił się do ucha współnika i żartobliwie powiedział:

- I co? czy ktoś szepnął ci już coś na ucho?

- Powoli, bez pośpiech – odparł tym samym tonem Moncharmin. – Przedstawienie dopiero się zaczęło, a jak wiesz upiór przychodzi w połowie pierwszego aktu.

Pierwszy akt przeszedł bez większego wypadku, co nie zdziwiło przyjaciół Carlotty, bo Małgorzaty w tym akcie nie ma. Kiedy zaś opadła kurtyna, dyrektorowie z uśmiechem spojrzeli na siebie.

- No to jeden minął! – rzekł Moncharmin.

- Tak, a upiór coś nam się spóźnia – dodał Richard.

- Jak na przekłętą salę, widownię mamy całkiem niezłą – zauważył ciągle żartobliwie Moncharmin.

Richard z uśmiechem zwrócił uwagę towarzysza na tęgą, o bardzo pospolitym wyglądzie kobiecinę w środku jednego z pierwszych rzędów foteli, siedzącą między dwoma sztywnymi, czarno ubranymi jegomościami.

- A cóż to za towarzystwo? – zapytał Moncharmin.

- To moja konsjerżka ze swoim mężem i bratem.

- Dałeś im bilety?

- A dałem... Ona nigdy nie była w Operze... A że ma teraz bywać tu co wieczór, chciałem raz jeden posadzić ją na honorowym miejscu, zanim ona sadzać będzie innych.

- To następczyni tej Giri?

- Tak.

132A wiesz ty, że Giri zamierza wnieść skargę na ciebie?

- Do kogo? Do upióra?

Nagle drzwi łoży otworzyły się i do środka wpadł wystraszony reżyser.

- Co się stało? – spytali zaniepokojeni dyrektorowie.

- Carlotta szaleje! Przyjaciele Daaé uknuli spisek na nią!

Richard zawrzał gniewem. Chciał coś powiedzieć, lecz w tej chwili kurtyna poszła w górę, gestem odprawił więc reżysera.

Kiedy reżyser wyszedł, Moncharmin zapytał:

- To Daaé ma przyjaciół?

- I owszem.

133Kogo?

Richard spojrzeniem wskazał łożę, w której było tylko dwóch mężczyzn.

- Hrabiego de Chagny?

- Tak, polecał mi ją... tak gorąco, że gdybym nie wiedział, że jest blisko z Sorelli...

- No, no... – mruknął Moncharmin. – A któż to ten blady młodzieniec z nim?

- Jego brat, wicehrabia.

- Powinien zostać w łóżku. Wygląda na chorego.

Scena rozbrzmiewała radosnymi śpiewami. Studenci, żołnierze, mieszczenie bawili się wesoło. Wreszcie na scenę wbiegł Siebel.

Krystyna uroczo wyglądała jako student. Przyjaciele Carlotty spodziewali się, że teraz właśnie rozlegną się burzliwe owacje. Ku ich zaskoczeniu owacji nie było! Za to kiedy Carlotta jako Małgorzata przeszła przez scenę śpiewając jedynie dwa wiersze swej roli w akcie drugim, powitały ją ogłuszające brawa, aż niewtajemniczeni zdumieli się, tak niestosowne to było. Lecz był to jedyny incydent. Podczas antraktu dyrektorzy poszli zasięgnąć wieści na temat rzekomego spisku, o którym mówił reżyser, ale wrócili niebawem uznawszy sprawę za błąhą. Pierwszą rzeczą jaką ujrzeli wchodząc do łoży było pudełko czekoladek leżące na parapecie. Kto je tu przyniósł? Wypyтали bileterki, lecz nikt nie umiał im odpowiedzieć. Kiedy zaś znowu odwrócili się ku scenie, obok czekoladek zobaczyli lornetkę. Popatrzyli po sobie. Nie było im do śmiechu. Przypomnieli sobie naraz, co mówiła Giri... a przy tym mieli wrażenie, jakby przez łożę przebiegał raz po raz dziwny powiew.... Usiedli w milczeniu.

Scena przedstawiała ogród Małgorzaty.

Kwiatki powiedzcie jej...

Kiedy Krystyna-Siebel, śpiewając te słowa z bukietem róż i lilii w ręku, podniosła głowę i spostrzegła w łoży wicehrabiego de Chagny, wydało się wszystkim, że głos jej stracił czystość i pewność... Pojawiło się w nim drżenie i lęk.

Wicehrabia ukrył twarz w dłoniach. Płakał. Za nim siedział starszy brat, ze zmarszczoną brwią, chmurną twarzą. Wrzał gniewem. Kiedy zobaczył bowiem w jakim stanie Raoul wrócił z krótkiej a tajemniczej podróży, zażądał wyjaśnień, lecz one wcale go nie uspokoiły. Poprosił zatem Krystynę o rozmowę, ona zaś miała czelność pisemnie mu odpowiedzieć, iż ani jego, ani jego brata przyjąć nie może. Uznał to za szczyt wyrachowania. Nie mógł wybaczyć Krystynie, że przyprawia Raoula o cierpienie, ale przede wszystkim nie mógł wybaczyć Raoulowi, że cierpi przez Krystynę. Zastanawiał się też, na co ta mała liczy... czego się spodziewa... Nie lada musi być spryciarz z tego Anioła Północy!

Raoul z twarzą zasłoniętą dłońmi kryjącymi łzy, myślał tylko o liście, jaki po powrocie do Paryża otrzymał od Krystyny, która przed nim wyjechała po kryjomu z Perros:

„Drogi przyjacielu dzieciństwa, nie wolno ci więcej mnie widywać, nie wolno ci ze mną rozmawiać... Jeśli lubisz mnie choć trochę, uczyni to dla mnie. Drogi Raoulu! nigdy cię nie zapomnę, ale za nic nie możesz wejść do mojej garderoby. Idzie o moje życie. I o twoje. Krystyna.”

Burza oklasków... To na scenę weszła Carlotta. Po każdej pieśni rozlegały się gromkie owacje. Nabierając pewności, Carlotta przechodziła sama siebie, śpiewała z żarem, w natchnieniu, w upojeniu, jak nigdy dotąd. I oto na początku wspaniałego duetu z Faustem stała się rzecz straszna! Cała widownia poderwała się aż na nogi, obaj dyrektorzy nie zdołali powstrzymać okrzyku grozy... Na scenie stała Carlotta z twarzą boleśnie wykrzywioną, obłędem w oczach, otwartymi ustami, z których... wydobył się żabi rechot!... Z tych ust, co jeszcze przed chwilą wydawały tak harmonijne i porywające dźwięki!

Carlotta jakby nie dowierzała własnym uszom. Popatrzyła dookoła szukając pomocy, potwierdzenia, że to złudzenie. Niebotyczne zdumienie trwało kilka sekund, które wydały się wiekiem dyrektorom siedzącym w łoży numer 5 na pierwszym piętrze. To niewiarygodne zdarzenie napełniło ich trwogą tym większą, że już od dobrej chwili mieli wrażenie, iż są w obecności upiora.

Poczuł najpierw jego oddech. Pod wpływem dmuchnięcia zafalowały kosmyki włosów Moncharmina... Richard otarł chustką pot z czoła... Upiór był przy nich... wokół nich... z przodu, z tyłu, wszędzie, czuli go nie widząc... słyszeli jego oddech... blisko, tuż obok!... Wyczuwa się przecież czyjaś obecność!... a oni byli pewni, że ktoś trzeci znajduje się w łoży... i nie mieli siły wstać i uciec... i czekali, pewni, że się coś stanie... I stało się. Z ust Carlotty wydobył się żabi rechot! Ponad gwar na widowni wybił się ich okrzyk zgrozy.

Czuli, że są pod wpływem upiora. Wychyleni z łoży patrzyli na Carlottę, jakby ją pierwszy raz widzieli. Ta piekielnica musiała rechotem dać sygnał! Ach! spodziewali się katastrofy. Wszak upiór im to obiecał! Sala była przeklęta! Dyrektorskie piersi poruszały się w ciężkim oddechu. Rozległ się zduszony głos Richarda wołającego do Carlotty:

- Śpiewać dalej!

Bohatersko zaczęła... po to tylko, by znowu wydać z siebie żabi rechot!

Na widowni wybuchł tumult. Dyrektorzy opadli bez sił na fotele. Za ich plecami upiór śmiał się w kułak. I naraz usłyszeli z prawa jego głos:

- Ona dzisiaj tak śpiewa, że spadają żyrandole.

Zgodnym ruchem obaj dyrektorowie spojrzeli ku sufitowi i wydarł im się straszny krzyk!....

Potężny żyrandol leciał coraz niżej jakby na wezwanie tego szatańskiego głosu, aż spadł!

Publiczność w panice cisnęła się ku wyjściu. Wiele osób było rannych i jedna ofiara śmiertelna.

Żyrandol spadł na głowę tej, co pierwszy raz w życiu przyszła do Opery, a którą Firmn Richard wybrał na następczynię Giri, bileterki w łoży upiora. Poniosła śmierć na miejscu.

IX

TAJEMNICZY POWÓZ

Ten tragiczny wieczór był zły dla wszystkich. Carlotta rozchorowała się ciężko, Krystyna Daaé zaś zniknęła zaraz po przedstawieniu. Przez dwa tygodnie nie widziano jej ani w teatrze, ani nigdzie indziej. Nie należy jednak mylić tego zniknięcia z głośnym porwaniem, które nastąpiło jakiś czas później w okolicznościach naprawdę dramatycznych i niewytłumaczonych. Raoula pierwszego oczywiście zastanowiła nieobecność śpiewaczki. Wysłał do niej list na adres pani Valerius, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Nie zdziwiło go to zresztą, wiedział bowiem, że Krystyna nie chce utrzymywać z nim kontaktów, choć zupełnie się nie domyślał przyczyny.

Pogłębiło to tylko jego cierpienie, w końcu zaniepokoił się nie widząc nazwiska Daaé na afiszach. „Fausta” wystawiono bez jej udziału. Jednego popołudnia udał się zatem do dyrekcji, aby spytać o powód nieobecności Krystyny. Zastał dyrektorów dość podenerwowanych. Przyjaciele ich ostatnio wręcz nie poznawali: stracili całą radość i werwę. Chodzili po teatrze ze spuszczoną głową, zatroskanym czołem. Upadek żyrandola przysporzył im niemało kłopotów. Dochodzenie wykazało, że przyczyną było zużycie utrzymujących go haków, niemniej do obowiązku dyrekcji należało pilnowanie konserwacji. Lecz bywalcy, widząc, jak Richard i Moncharmin są nieobecni duchem... tajemniczy jacyś, nieprzeniknieni, skłonni byli przypuszczać, że coś gorszego niż upadek żyrandola wpłynęło na tę zmianę. W kontaktach z ludźmi przejawiali wielką niecierpliwość – z wyjątkiem szacownej Giri, która wróciła do swoich obowiązków.

Nietrudno się zatem domyślić, w jaki sposób powitali wicehrabiego de Chagny, kiedy przyszedł się dowiedzieć o Krystynę Daaé. Krótko odrzekli, że śpiewaczka jest na urlopie. Na pytanie zaś, kiedy wraca, odparli sucho, że to urlop bezterminowy ze względów zdrowotnych.

- Więc jest chora? Na co? – zawołał Raoul.

- Nie wiemy.

- To nie posłaliście jej, panowie, lekarza teatralnego?

- Nie prosiła o lekarza, a że w zupełności ufamy pannie Daaé, uwierzyliśmy jej na słowo.

Cała ta sprawa nie podobała się Raoulowi. Wyszedł z Opery pogrążony w ponurych myślach, postanawiając bez względu na wszystko zasięgnąć wiadomości u pani Valerius.

Pamiętał wprawdzie o życzeniu Krystyny, zawartym w ostatnim liście, aby nie stał się z nią zobaczyć, lecz to, co widział w Perros, co usłyszał pod drzwiami garderoby, wreszcie rozmowa z nią na plaży – wszystko to zdawało się wskazywać na jakąś diabelską machinację, w której domyślał się jednak ręki ludzkiej. Wybujała wyobraźnia śpiewaczki rozbudzona legendami starego skrzypka, tęsknota za ojcem, a zwłaszcza stany ekstazy, w jakie popadała jej artystyczna dusza – przykładem scena na cmentarzu – czyniły wrażliwą Daaé podatną na wpływy. Cóż za tajemniczy a nie mający skrupułów łajdak wybrał ją na swoją ofiarę? Nad tym zastanawiał się Raoul zdążając śpiesznie do pani Valerius. Choć lubił bretońskie legendy, muzykę i poezję, choć zakochany był po uszy w malej czarodziejce z Północy, patrzył trzeźwo na świat i nie wierzył w żadne cuda.

Rozgorączkowany zadzwonił do drzwi mieszkania pani Valerius. Otworzyła mu pokojówka, której wręczył swój bilet wizytowy. Parę chwil później wchodził do zaciemnionego pokoju, gdzie przyjęła go coraz bardziej zapadająca na zdrowiu staruszka.

- Witam Raoulu! – zawołała serdecznie – Niebo mi pana zsyła... Będziemy mogli pomówić o niej.

Słowa te jakoś ponuro zabrzmiały w uszach wicehrabiego.

- Proszę mi powiedzieć... gdzie Krystyna? – poprosił.

- Ależ ze swoim „dobrym duchem” – odpowiedziała spokojnie pani Valerius.

- Z jakim dobrym duchem? – zawołał oszołomiony Raoul.

- Z Aniołem muzyki.

Skonsternowany Raoul osunął się na krzesło. Ach, tak! więc Krystyna jest z Aniołem Muzyki! A staruszka uśmiechnęła się doń kładąc palec na ustach!

- Nie trzeba nikomu o tym mówić – dodała.

- Może pani liczyć na mnie – odparł Raoul, nie zdając sobie sprawy, co mówi, bo jego myśli, już mocno pomieszane, gdy chodziło o Krystynę, plątały się coraz bardziej i wydawało mu się, że wszystko zaczyna wirować wokół niego, wokół pokoju, wokół tej niezwyklej staruszki o siwych włosach i oczach błękitnych jak jasne niebo... jak puste niebo... – Może pani na mnie...

- Wiem, wiem – rzekła śmiejąc się uszczęśliwiona. – Ale podejdź tu do mnie, podaj mi rękę, jak dawniej gdy byłeś dzieckiem i słuchałeś legend starego Daaé. Wiesz, przecież, Raoulu, że zawsze cię lubiłam. I Krystyna też cię bardzo lubi.

- Lubi mnie – westchnął młodzieniec, myślami błądząc wokół ducha wspomnianego przez panią Valerius, Anioła tak tajemniczo opisanego przez Krystynę, trupiej czaszki ujranej niby w koszmarze na stopniach ołtarza w Perros, a także upiora Opery, którego sława obita się o uszy wicehrabiego, kiedy jednego razu w Operze doszła go opowieść o Josephie Buquet i jego niezwykłym końcu...

Spytał szeptem:

- Skąd pani wie, że Krystyna mnie lubi?

- Mówiła o tobie codziennie. Powiedziała że coś jej wyznałeś. – I staruszka wybuchnęła szczerym, wesołym śmiechem.

Raoul zerwał się z krzesła.

- A to co? Może jednak usiądziesz? Myślisz, że cię tak puszcze wicehrabio?... Gniewnyś, że się śmiałam... przepraszam. W końcu nie z twojej winy to się stało... Nie wiedziałeś.. jesteś młody... i myślałeś, że Krystyna jest wolna...

- A więc jest zaręczona? – spytał Raoul zduszonym głosem.

- Skądże znowu! Choćby chciała przecież, nie może iść za męż!...

- Co?... Pierwsze słyszę! Dlaczego nie może iść za męż?

- Z powodu tego Anioła Muzyki!

- Znowu on...

- On jej nie pozwala!

- Anioł Muzyki nie pozwala jej iść za męż!... – szeptął Raoul pochylony nad panią Valerius, z twarzą wykrzywioną i oczami błyszczącymi gniewem. Prostota umysłu staruszki doprowadziła go do szału. Ona zaś, ani się domyślając jakie uczucia budzi w wicehrabim, ciągnęła:

- Nie pozwala... ale też nie zabrania... Powiedział, że jeśli wyjdzie za męż, to więcej go nie usłyszy... bo on odejdzie na zawsze!...

Pojmujesz sam, że Krystyna nie chce, aby odszedł. To normalne.

- O, tak! całkiem normalne – westchnął Raoul.

- Myślałam, że mówiła ci o tym w Perros, gdzie była właśnie z nim.

- Była w Perros z tym swoim „dobrym duchem”?

- Właściwie to nazaczył jej spotkanie na cmentarzu, przy grobie starego Daaé. Obiecał jej tam zagrać „Zmartwychwstanie Łazarza” na skrzypcach ojca.

Raoul podniósł się i stanowczo zażądał:

- Droga pani, proszę mi natychmiast powiedzieć gdzie on mieszka.

Staruszka uniosła rękę w górę.

- W niebie! – odpowiedziała z prostotą.

Tyle naiwności stropiło Raoula. Bezkrytyczna wiara w ducha, który co wieczór zstępuje z nieba,

aby odwiedzać garderoby artystów w Operze, wprawiła go w osłupienie. Zaczynał zdawać sobie sprawę w jakim stanie umysłu musi znajdować się młoda osóbką wychowana u boku przesądnego, prostego skrzypka i „natchnionej” pani Valerius. – i dreszcz go przebiegł gdy pomyślał o skutkach.

- Czy Krystyna jest nadal uczciwą dziewczyną? – spytał naraz.

- Och! przysięgam na moje zbawienie! – zawołała oburzona pani Valerius. – a jeśli w to wątpisz, to nie wiem, czego tu szukasz, wicehrabio!

- Jak dawno trwa ta znajomość? – pytał dalej Raoul szarpiąc rękawiczki.

- A ze trzy miesiące... Tak, trzy miesiące temu zaczął jej dawać lekcje.

Wicehrabia gestem pełnym rozpaczy podniósł ręce do góry, po czym opuścił je zniechęcony.

- Duch udziela jej lekcji!... A gdzie to, jeśli łaska?

- Teraz nie wiem, skoro z nim pojechała, ale przedtem schodzili się w garderobie Krystyny. Tam mieli spokój. O ósmej rano w Operze nie ma nikogo. Nikt im nie przeszkadzał, rozumiesz wicehrabio?

- Rozumiem!... rozumiem! – krzyknął i pożegnawszy się spiesźnie, wybiegł z pokoju.

Przechodząc przez salon natknął się na pokojówkę i już, już miał ją zacząć wypytywać, lecz zdało mu się, że na jej ustach widzi lekki uśmiezek. Pomyślał, że kpi sobie z niego – i uciekł. Czyż nie wiedział już wystarczająco dużo? Chciał się dowiedzieć, czego więc może jeszcze pragnąć?... Pieszko przyszedł do mieszkania brata w pożałowania godnym stanie.

Tak dać się oszukać! Tak uwierzyć kłamliwej prostocie i niewinności tej dziewczyny!... Anioł Muzyki! Wiedział teraz, kto zaczął, wiedział! Jeden z tych młodych tenorów, co to śpiewając serce ma na ustach! Raoul czuł się ośmieszony i bardzo nieszczęśliwy. Długi marsz ostudził mu nieco głowę, toteż gdy wszedł do swego pokoju, marzył, by rzucić się na łóżko i zdusić napływające łzy.

Starszy brat po ojcowsku dodał mu otuchy o nic nie pytając, po czym namówił go, by zjedli kolację w kabarecie. Raoul byłby odmówił, gdyby brat nie powiedział mu, iż poprzedniego wieczoru panią jego myśli widziano w Lasku Bulońskim w powozie, w towarzystwie mężczyzny. Początkowo Raoul nie chciał wierzyć, ale podane szczegóły były tak wiarygodne i dokładne, iż zaprzeczyć nie mógł. Zobaczono bowiem Krystynę w oknie powozu z opuszczoną szybą. Księżyc oświetlał jej twarz, lecz jadącego z nią mężczyzny nie rozpoznano. Raoul ubrał się gorączkowo, gotów, jak to się mówi, „szukać zapomnienia w wirze uciech”. Smutnym jednak okazał się kompanem. Wcześniej pożegnał brata, a około dziesiątej zajechał wynajętym powozem do Lasku Bulońskiego. Stangretowi polecił stanąć w bocznej alejce, sam zaś, czekając w cieniu, przytupywał dla rozgrzewki.

Z pół godziny oddawał się już temu zdrowemu ćwiczeniu, gdy jakiś powóz nadjeżdżający od strony miasta skręcił do lasku i wolno zmierzał w kierunku, gdzie czekał Raoul.

Jemu zaś serce zabiło gwałtownie. Przeczuł, że powóz ten wiezie Krystynę. Był coraz bliżej...

Jeżeli to naprawdę ona, Raoul postanowił, że skoczy i zatrzyma konie. Za wszelką cenę zdecydowany był rozmówić się z tym Aniołem Muzyki!

Księżyc świecił jasno. Gdy powóz był zaledwie o kilka kroków, Raoul ujrzał w oknie bladą twarz kobiety. Mimowolny krzyk wydarł mu się z piersi:

- Krystyna!

I skoczył naprzód.

Lecz imię to było jakby sygnałem: bo oto szyba się zatrzasnęła, a zaprzęg ruszył z kopyta. W jednej chwili powóz tak się oddalił, że był tylko małym punktem na jasnej od blasku księżyca drodze.

Pełnym rozpaczy wzrokiem Raoul spojrzał ku niebu, ku gwiazdom: kochał, lecz nie był kochany!

Posepnie patrzył na pustą drogę, w sercu czuł próżnię: pokochał anioła, gardził kobietą! Jakąż igraszką był dla czarodziejki z Północy! Nie powinna była mieć tak jasnych, czystych oczu dziecka, skoro nosiła w sobie duszę kurtyzany!...
Przejechała nie zwracając uwagi na jego wołanie... Ale też jakim prawem on stanął na jej drodze, kiedy żądała, by o niej zapomniał?...
Pragnął śmierci – a miał ledwie dwadzieścia lat.
Nazajutrz rano służący zastał go siedzącego na łóżku. Był w ubraniu, a na twarzy miał taką rozpacz, aż sługa się przestraszył.
Raoul wyrwał mu z ręki przyniesiony list: poznał pismo! To od Krystyny!

Przyjacielu – pisała – Bądź pojutrze o północy na balu maskowym w Operze, w małym saloniku obok głównego foyer, przy drzwiach prowadzących do rotundy. Nie mów o tym spotkaniu nikomu. Włóż białe domino i maseczkę. Zaklinam cię, bądź ostrożny, aby cię nie poznano!

Krystyna

X NA BALU MASKOWYM

Na kopercie, powalanej błotem i zmiętej, nie było znaczka pocztowego, tylko wypisane ołówkiem „Oddać wicehrabiemu Raoulowi de Chagny” i adres. List ten najwyraźniej rzucono w nadziei, że ktoś go podniesie i doręczy adresatowi. Tak też się stało. Znaleziony został na chodniku przed Operą.

Nie trzeba było więcej, aby w Raoulu odżyła nadzieja. Ponury wizerunek Krystyny, jaki sobie stworzył, zapominającej o powinnościach wobec samej siebie, ustąpił miejsca pierwotnemu wyobrażeniu : niewinnego dziewczęcia, ofiary nierozwagi i nazbyt wielkiej wrażliwości. Do jakiego stopnia naprawdę była ofiarą? Kto ją więził? W jaką otchłań pociągał? Raoul zadawał sobie te pytania z okrutnym lękiem, bardziej znośnym wszakże od myśli o kłamliwości i obłudzie Krystyny. Co takiego się wydarzyło? Jakież potwór ją wprowadził i jaką bronią władał?

Czyż nie była nią muzyka? Tak, nie ulega wątpliwości. Przecież Raoulowi dźwięczał jeszcze w uszach głos Krystyny, gdy w Perros oznajmiła mu przybycie nieziemskiego wysłannika. A czy jej dzieje w ostatnim czasie nie powinny mu pomóc w rozjaśnieniu mroków w jakich się miotał? Wiedział o rozpaczach Krystyny po śmierci ojca i jej zniechęceniu do życia, a nawet do sztuki. Konserwatorium przebyła niczym śpiewająca bezduszna maszyna. Aż tu naraz przebudziła się w niezwykle sposób! Przybył Anioł Muzyki!

Któż to w jej oczach uchodzi za owego cudownego ducha? Któż to, wiedząc o drogiej staremu Daaé legendzie, nadużywa jej tak bardzo, że Krystyna jest tylko posłusznym instrumentem dźwięczącym wedle jego woli.

Raoul słyszał swego czasu o pewnej damie, która nie mogła ukoić bólu po stracie męża, aż lękano się o jej rozum. Ktoś wpadł wówczas na myśl, aby sprowadzić słynnego tenora, który ukryty w kępie krzewów odśpiewał ulubioną pieśń małżonka owej damy. Przekonana była wówczas, że to jej ukochany zstąpił z nieba! Co by jednak było gdyby eksperyment powtarzano? Na przykład codziennie przez trzy miesiące? Wdowa niechybnie odkryłaby prawdę! A tymczasem Anioł Muzyki przez trzy miesiące udzielał lekcji Krystynie... Punktualnym był nauczycielem!... a teraz wozi ją na przejażdżki po Lasku Bulońskim!

Niedoświadczony Raoul zastanawiał się ze strachem, do jakiej to zabawy piękna panna zaprasza go na najbliższej maskaradzie?

I jak długo artystka operowa może sobie drwić z młodzieńca kochającego pierwszą miłością? Nie wiedział już, czy litować się nad Krystyną, czy ją potępiać – i na zmianę czynił to jedno, to drugie. Pomimo wszystko zaopatrzył się jednak w białe domino.

Nadeszła wreszcie godzina spotkania. Raoul owinięty w płaszcz maskaradowy i w maseczce na twarzy, wszedł do gmachu Opery. Korytarze i sale zapełnili już goście. Bale maskowe w Operze miały z dawną wyrobioną markę. Cały elegancki i artystyczny Paryż spotykał się tu, żądny wrażeń i wesołej zabawy.

Kilka minut brakowało do północy, gdy Raoul wstępował na główne schody. Szedł szybko nie zatrzymując się, nie zwracał uwagi na otaczające go bogate, wielobarwne kostiumy ani na zaczepki rozbawionych masek.

Wreszcie dotarł do salonu, gdzie mu Krystyna wyznaczyła spotkanie. Panował tu obłądny gwar i ruch. Był to punkt zborny, gdzie schodzili się zaproszeni na kolację podawaną w rotundzie.

Raoul pomyślał, że na ich sekretne spotkanie Krystyna wybrała ten gwarny zakątek, a nie jakieś ustronie, bo tu w maskach byli bardziej ukryci.

Oparł się o drzwi i czekał. Upłynęło zaledwie parę minut, gdy czarne domino przesunęło się tuż koło niego i lekko musnęło jego rękę. Zrozumiał, że to ona, i pospieszył jej śladem.

- Czy to ty, Krystyno? – dla pewności zapytał szeptem.

Czarne domino odwróciło się i gestem nakazało mu milczenie. Raoul szedł więc dalej za nią, lękając się, aby skoro już ją odnalazł, nie zginęła mu w tłumie. Nie czuł do niej w tej chwili nienawiści ani żalu. Był gotów przebaczyć wszystko – choćby najgorsze. Bo kochał. I z pewnością pozna zaraz przyczynę osobliwego zniknięcia ukochanej.

Czarne domino odwracało się niekiedy, by sprawdzić, czy białe za nim podąża. Tak doszli do głównego foyer, gdzie uwagę Raoula zwróciła duża grupa cisnąca się wokół osobnika, którego oryginalne przebranie, makabryczny wygląd wywoływały wrażenie.

Osobnik ów owinięty był w szkarłatny płaszcz, a olbrzymi kapelusz z piórami wieńczył ohydny trupią czaszkę. Wokół tłoczyli się ciekawscy wypytujac, gdzie tak doskonałą imitację trupiej czaszki wykonano. Sama kostucha musiała do niej pozować! A człowiek o trupiej głowie szedł poważnie i majestatycznie naprzód, ciągnąc za sobą olbrzymi tren aksamitnego płaszcza, na którym złotymi zgłoskami widniały wypisane słowa: „Nie dotykać mnie! Jestem Czerwona Śmierć!”

Ktoś śmielszy usiłował go jednak dotknąć... ale ręka kościotrupa wysunęła się z szerokiego rękawa i pochwyciła zuchwalca tak silnie, iż tenże, krzyknąwszy z bólu, uciekł wołając, że poczuł dotknięcie śmierci. Stało się to w chwili gdy Raoul w pogoni za czarnym dominem przechodził przez salę. Spojrzał i o mało nie krzyknął: „To trupia czasza z Perros!”

Poznał ją!... Chciał biec, zapomniawszy o Krystynie, ale czarne domino złapało go za rękę i

drżące, zda się – przerażone, pociągnęło na przód..

Daleko od foyer, daleko od miejsca gdzie kroczyła Czerwona Śmierć. ...

Co chwila czarne domino oglądało się do tyłu i niechybnie ujrzało coś, co wzbudziło w nim przerażenie, bo jeszcze przyspieszyło ciągnąc za sobą Raoula, jakby ich kto ścigał.

Tak przebyli dwa pietra. Tutaj schody i korytarze były prawie puste. Czarne domino pchnęło jakieś drzwi i gestem nakazało Raoulowi wejść. Krystyna (to była ona, poznała go po głosie) natychmiast zamknęła za nim drzwi i szeptem kazał mu się ukryć w głębi pomieszczenia i nie pokazywać się. Raoul zdjął maskę. I już miał prosić by i Krystyna odsłoniła twarz, gdy naraz ze zdumieniem spostrzegł, że przyłożyła ucho do bocznej ściany i uważnie nasłuchuje. Potem uchyliła drzwi i zerknęła na korytarz, szepcząc:

- Pewnie poszedł piętro wyżej..

I nagle zawołała:

- Schodzi!

Chciała zamknąć drzwi, lecz Raoul przeszkodził jej, bo na najwyższym stopniu schodów prowadzących na następne piętro ujrzał czerwoną nogę, potem drugą... i powoli, majestatycznie ukazało się całe szkarłatne odzienie Czerwonej Śmierci. Na końcu Raoul zobaczył trupa czaszki z Perros.

- To on! – krzyknął. – Tym razem mi nie ujdzie!

Ale Krystyna zręcznie zatrasnęła drzwi w chwili, gdy Raoul skoczył naprzód, i stanowczo zastąpiła mu drogę.

- Kogóż to poznałeś Raoulu? – zapytała zmienionym głosem. – Kto ci nie ujdzie?

Raoul brutalnie próbował odepchnąć od drzwi dziewczynę, lecz stawiała mu opór z nieoczekiwaną siłą... Wicehrabia widać zrozumiał – albo sądził, że rozumie – bo ogarnęła go wściekłość.

134 Kogo? – zawołał z gniewem. – Ależ jego!... Tego, co się ukrywa pod tą ohydną trupią maską! ... Złego ducha z cmentarza w Perros! Twojego Anioła Muzyki!... Ale zerwę mu maskę z twarzy i spojrzemy sobie otwarcie w oczy! I dowiem się wreszcie, kogo kochasz i kto kocha ciebie!

Rozpaczliwym ruchem Krystyna rozkrzyżowała ramiona, broniąc Raoulowi wyjść.

- W imię naszej miłości!... nie idź, Raoulu!

Raoul stanął. Co ona powiedziała?... W imię ich miłości?... Ależ nigdy, nigdy dotąd nie wyznała mu, że go kocha, chociaż okazji nie brakowało. Patrzyła nań gdy był nieszczęśliwy, gdy leżał półżywy w Perros... I co wtedy uczyniła? Uciekła!... A teraz mówi, że go kocha! Też coś!...

Jedynie, co ma na celu, to dać czas ma ucieczkę Czerwonej Śmierci... Reszta jest kłamstwem!

- Kłamiesz Krystyno – rzekł po chwili z jakąś dziecięcą nienawiścią – kłamiesz! Wierzyłem ci, myślałem, żeś uczciwa... Nadużyłaś mojego zaufania... zdrwiłaś sobie ze mnie i z moich uczuć... Gardzę tobą!

Krystyna nie broniła mu rzucać obelg. Myślała tylko o jednym: żeby go zatrzymać.

- Kiedyś będziesz mnie prosił o wybaczenie tego, co dzisiaj mówisz – powiedziała wreszcie – a ja ci wybaczę.

Raoul potrząsnął głową.

- Nie, nie! Przez ciebie straciłem rozum!... miałem jeden cel w życiu: dać swoje nazwisko pewnej śpiewaczce operowej!...

- Och! biedaku!...

- Umrę ze wstydu!

- Żyj, przyjacielu... – pełnym powagi i wzruszenia głosem rzekła Daaé. – I żegnaj!

135 Żegnaj Krystyno!

Wicehrabia ruszył chwiejnym krokiem. Na koniec pozwolił sobie jeszcze na sarkazm:

- Ale pozwolisz oczywiście, żebym cię czasem oklaskiwał na scenie.

- Nie będę już śpiewać...

- Coś takiego! – dodał z jeszcze większą ironią. – Nie musimy już pracować!... Winszuję, winszuję... Ale wkrótce zobaczymy się w Lasku!

- Ani w Lasku, ani nigdzie indziej nie zobaczysz mnie więcej...

- A można przynajmniej wiedzieć, w jakim piekle czy niebie będziesz się ukrywać, tajemnicza pani?

- Przyszłam ci to powiedzieć... ale teraz już nie mogę... nie uwierzyłbyś mi! Straciłeś we mnie wiarę, Raoulu, wszystko między nami skończone!...

Ostatnie słowa wymówiła głosem tak zrozpaczonym, że Raoul zadrżał i poczuł wyrzuty sumienia...

- Powiedźże wreszcie – zawołał – co to wszystko znaczy!.. Jesteś wolna, pojawiaasz się na mieście... do Opery przychodzisz w przebraniu... Dlaczego nie wracasz do domu? Co się z tobą dzieje od dwóch tygodni? Co to za historia o Aniele Muzyki, którą opowiedziałaś pani Valerius? Ktoś mógł cię okłamywać, nadużywać twojej wiary! Sam byłem tego świadkiem w Perros. Ale teraz już wiesz o co w tym chodzi!... Przecież jesteś rozsądna, Krystyno i wiesz, co robisz! Wytłumacz się, błagam... Co to za komedia?

Krystyna zdjęła maskę i rzekła z prostotą...

- To smutna tragedia...! Przyjacielu...

Raoul ujrawszy jej twarz nie zdołał powstrzymać okrzyku przerażenia. Zniknęły świeże kolory delikatnej cery. Rysy jej oblekła sina bladość, a oczy, otoczone ciemną obwódką, błyszczały gorączkowo.

- Najdroższa! – jęknął Raoul wyciągając do niej ręce – obiecałaś, że wybaczysz...

137Może kiedyś... nie dzisiaj – odparła, po czym nałożyła maskę i odeszła, gestem zakazującym iść za sobą.

Raoul chciał biec za nią, lecz Krystyna raz jeszcze tak władczyim skinieniem go pożegnała, iż stanął, nie śmiejąc kroku postąpić.

Zszedł potem na dół, zmieszał się z rozbawionymi gośćmi, wypytyjąc dookoła czy ktoś nie widział Czerwonej Śmierci. Odpowiadano mu, że była, ale zniknęła, on zaś nigdzie jej nie spotkał. Wreszcie Kolo drugiej znalazł się w korytarzu, który prowadził do garderoby Krystyny, a więc w miejscu gdzie zaczęły się jego cierpienia.

Zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Wszedł zatem do środka jak wówczas, gdy szukał męskiego głosu. Garderoba była pusta. Rozjaśniał ją tylko płomyk niewielkiej lampki. Na biurku leżał papier listowy. Raoul pomyślał, że napisze do Krystyny, gdy naraz w korytarzu rozległy się czyjeś kroki... Ledwie zdołał się schować w umywalni oddzielonej od garderoby portierą, kiedy drzwi się otworzyły i weszła Krystyna.

Raoul wstrzymał oddech. Chciał zobaczyć! Chciał się dowiedzieć!... Coś mówiło mu, że oto pozna część tajemnicy i może coś wreszcie pojmie...

Krystyna weszła, znużonym ruchem zdjęła maskę i rzuciła ją na stół. Westchnęła, ukryła twarz w dłoniach... O kim myślała?... Nie o nim, bo Raoul dosłyszał, jak szepnęła „Biedny Erik!”

Zrazu pomyślał, że się przesłyszał. Lecz Krystyna po raz drugi z westchnieniem powtórzyła te same słowa, po czym zaczęła pisać. Zapełniła jedną kartkę, drugą, trzecią, czwartą. Nagle podniosła głowę i szybko ukryła papier na piersiach... Nasłuchiwała... i Raoul również słuchał... Skąd dobiegał ten dziwny rytmiczny dźwięk? Stłumiony śpiew wychodził jakby ze ściany... Można by rzec, że to mury śpiewają!... Śpiew stawał się coraz donośniejszy... Dawało się już rozróżnić głos męski o pięknym i nadzwyczaj melodyjnym brzmieniu. Głos ten zbliżał się...

wyszedł ze ściany... już był w pokoju, obok Krystyny...

Ona zaś wstała i przemówiła do głosu, niby do kogoś znajdującego się przy niej.

- Jestem Eriku, i gotowa. Spóźniłeś się przyjacielu!

Raoul zerkając ostrożnie zza portiery, nie wierzył własnym oczom, które nikogo nie widziały.

Twarz Krystyny rozjaśniła się. Łagodny uśmiech wyszedł na jej blade usta, uśmiech, jaki mają rekonwalescenci, kiedy zaczynają mieć pewność, że choroba ich nie zabierze.

A głos śpiewał dalej. Nigdy jeszcze Raoul takiego śpiewu nie słyszał. Dźwięki czyste i przedziwnie harmonijne płynęły w jego duszę. Wsłuchiwał się żarliwie w cudowne tony i zaczynał rozumieć jakie wrażenie wywarła na publiczności Krystyna, która była pod urokiem niewidzialnego a tak tajemniczego mistrza.

Głos śpiewał solową partię z „Romea i Julii”. Banalne słowa wiersza i prosta melodia nabierały nadzwyczajnej piękności. I Raoul ujrzał jak Krystyna wyciąga do głosu ramiona, tak samo jak na cmentarzu w Perros.

Nic nie jest w stanie oddać namiętności, jaka zadźwięczała w słowach: Przeznaczenie przykuwa cię do mnie na wieki.

Raoula przeszedł, dreszcz; walcząc z urokiem, który odbierał mu wolę i energię, a także zdolność jasnego myślenia, tak potrzebne w tej chwili, odciągnął portierę i poszedł prosto ku Krystynie. Ona zaś kroczyła z wolna ku ścianie, pokrytej w całości ogromnym lustrem, które odbijało jej postać. Nie widziała jednak Raoula gdyż zasłaniała go sobą zupełnie.

Przeznaczenie przykuwa cię do mnie na wieki!...

Krystyna szła ciągle ku swemu odbiciu, ono zaś zmierzało ku niej. Obydwie Krystyny – żywa i jej odbicie – zetknęły się w końcu, zwały, a Raoul wyciągnął ręce, żeby naraz chwycić obie. Lecz niespodzianie coś go odepchnęło, a lodowaty powiem ochłonął mu twarz; ujrzał już nie dwie, ale cztery, osiem, dwadzieścia Krystyn, które krążyły wokół lekko, leciutko, szydziły z niego, wreszcie tak szybko uciekły, że nie zdążył dotknąć żadnej. Potem wszystko znieruchomiło i zobaczył siebie w lustrze. Krystyna jednak zniknęła.

Skoczył do lustra, Kościan, pukał, dobijał się. Nie było nikogo a przecież w powietrzu rozlegały się jeszcze namiętne dźwięki melodii:

Przeznaczenie przykuwa cię do mnie na wieki!...

Przycisnął rękami złane potem czoło. Był pewien, że nie śnił. Znalazł się w samym centrum jakiejś niesamowitej gry, do której nie miał klucza i która go zniszczy być może. Mgliście czuł, że jest jakby księciem, co przekroczył zakazaną baśniową granicę i nie powinien się teraz dziwić, iż pada ofiarą czarodziejskich zjawisk, które nieopatrznie zlekceważył i rozpętał swoją miłością... Którędy? Którędy Krystyna wyszła?... Którędy wróci?...

Czy kiedykolwiek wróci?... Ach! oświadczyła mu przecież, że wszystko skończone!... a ściany jeszcze powtarzały

Przeznaczenie przykuwa cię do mnie na wieki!...

Ale do kogo? Znekany Raoul opadł na krzesło, na którym chwilę wcześniej siedziała Krystyna, i ukrył twarz w dłoniach. Gdy ją podniósł była zalana łzami.

138 Kim jest Erik? – zapytał na głos.

XI

TRZEBA ZAPOMNIEĆ IMIĘ „MĘSKIEGO GŁOSU”

Nazajutrz po tym jak Krystyna niespodzianie zniknęła mu z oczu, wicehrabia de Chagny udał się po wieści do pani Valerius... Zastał uroczy obrazek. U wezgłowia staruszki siedziała Krystyna robiąc koronkę. Świeże kolory wróciły jej na twarz, jasne oczy były bez sinych obwódek. Raoul nie poznawał zdradzającej cierpienie twarzy, jaką widział poprzedniego dnia. Gdyby nie lekki cień smutku przebiegający niekiedy po czole, gotów by pomyśleć, że Krystyna wcale nie była bohaterką niepojętego zdarzenia.

Podniosła się na jego widok i na pozór spokojna, podała mu rękę. Lecz Raoul tak był zdumiony, że stał bez jednego gestu ni słowa.

- A cóż to panie de Chagny? – zawołała pani Valerius. – Nie poznajesz naszej Krystyny? Jej „dobry duch” zwrócił ją nam.

- Mamo – ostro przerwała jej dziewczyna, rumieniąc się po same oczy – myślałam, że nie będzie już o nim mowy... Dobrze mama wie, że nie ma żadnego ducha muzyki!

- Ależ, moje dziecko, dawał ci przecież lekcje przez trzy miesiące!

- Obiecałam mamie, że niedługo wszystko wytłumaczę. A mama przyrzekła, że o nic nie będzie pytać.

- Gdybyś mi obiecała, że mnie więcej nie opuścisz... – westchnęła staruszka.

- Mamo, to nie ciekawi pana de Chagny.

- Przeciwnie, Krystyno – zaproponował Raoul – Wszystko co ciebie dotyczy, bardzo mnie interesuje. Nie będę ukrywał, że moje zdziwienie równe jest radości, gdy widzę cię tutaj, bo po tym co zaszło wczoraj, nie przypuszczałem, że tak szybko wrócisz. Cieszyłbym się z tego bardzo, gdybyś tak uparcie nie strzegła tajemnicy, która może cię zgubić... Musimy to rozwikłać, zanim padniesz ofiarą tej okropnej machinacji.

- Co to ma znaczyć? – zawołała staruszka z niepokojem. – Czy Krystynie coś grozi?

- Tak proszę pani – oświadczył mężnie Raoul mimo znaków Krystyny.

- Na Boga, Krystyno! trzeba mi wszystko powiedzieć! Co to za niebezpieczeństwo, wicehrabio?

- Jakiś nędznik wykorzystuje uczciwość Krystyny.

- Anioł Muzyki jest nędznikiem?

- Przecież sama Krystyna powiedziała pani, że nie ma żadnego Anioła Muzyki.
- No to kto jest, na litość boską?

- Wokół nas wszystkich jest jakaś tajemnica, o wiele groźniejsza niż wszystkie upiory i duchy!

Pani Valerius obróciła zastrachaną twarz do Krystyny, lecz ona się do niej rzuciła i tuląc ją do siebie, rzekła:

- Niech mama nie wierzy Raoulowi!...
- To powiedz, że mnie więcej nie opuścisz! – rzekła natarczywie staruszka.

Krystyna milczała.

- Powinnaś to obiecać Krystyno... Twoją matkę i mnie tylko to może uspokoić! Przyrzekamy ci nie zadawać żadnych pytań co do przeszłości, jeśli obiecasz zostać pod naszą opieką w przyszłości.

- Nie proszę o opiekę i obietnicy nie złożę! – oświadczyła Daaé dumnie. – Jestem wolna, a ty nie masz prawa mnie pilnować. A jeśli chodzi o to, co robiłam przez ostatnie dwa tygodnie, to jeden tylko człowiek miałby prawo żądać ode mnie wyjaśnień: mój mąż! Męża zaś nie mam i nigdy nie będę miała!

Mówiąc to, wyciągnęła rękę w stronę Raoula, jakby chciała dodać powagi swoim słowom, on zaś pobladł – nie tylko z powodu tego co właśnie usłyszał, ale spostrzegł na palcu Krystyny obrączkę.

- Nie masz męża, ale nosisz obrączkę.

I chciał złapać Krystynę za rękę, lecz zrećźnie ją cofnęła.

- To podarunek – wyszeptwała, czerwieniąc się i daremnie usiłując skryć zakłopotanie.
- Skoro nie masz męża, obrączkę mógł ci dać tylko ten, kto ma nadzieję nim zostać! Dlaczego nas ciągle oszukujesz? Dlaczego zadajesz mi tortury? Ta obrączka jest obietnicą! i to przyjętą!
- To samo jej mówiłam – zawołała staruszka.
- I co odpowiedział?

- To co chciałam! – wybuchnęła zrozpaczona Krystyna – czy nie uważasz, że to śledztwo trwa już za długo?... Ja...

Raoul przeląkł się, że dziewczyna wyrzeknie słowa, które rozdzielią ich na zawsze. Toteż przerwał jej:

- Wybacz, Krystyno, że tak do ciebie mówiłem... Ale wiesz dobrze, co sprawia, że mieszam się do tego, co nie dotyczy mnie... Pozwól, że opowiem ci co widziałem... albo sądziłem, że widzę, bo doprawdy można było oczom nie wierzyć...

- Co takiego widziałeś?

- Widziałem, jak wpadłaś w ekstazę na dźwięk głosu! Głosu wychodzącego ze ściany czy też z pokoju obok... tak, widziałem twoją ekstazę! I to przeraża mnie najbardziej. Zdałaś sobie jednak sprawę z oszustwa, bo mówisz dzisiaj, że nie ma Anioła Muzyki.. Dlaczego więc znowu poszłaś z tym człowiekiem Krystyno? Dlaczego twarz ci promieniała, jakbyś rzeczywiście słyszała anielski śpiew? Krystyno, zaklinam cię, powiedz, do kogo należy ten głos? Jak się nazywa człowiek, który miał czelność włożyć ci na palec złotą obrączkę?!

- Panie de Chagny – odpowiedziała zimno Daaé – tego nigdy się nie dowiesz!

W tej chwili wtrąciła się pani Valerius, która naraz wzięła stronę Krystyny widząc, jak wrogo jej pupilka odnosi się do wicehrabiego:

- A może ona kocha tego człowieka, wicehrabio? Nie masz prawa się wtrącać.

- Niestety – szepnął pokornie Raoul ze łzami w oczach. – Myślę, że Krystyna rzeczywiście kocha tego człowieka. Ale nie to wprawia mnie w taką rozpacz, lecz niepewność, czy on jest godzien tej miłości!

- Tylko ja mogę to osądzić – rzekła Krystyna ze wzburzeniem na twarzy.

- Jeżeli ktoś stosuje tak romantyczne sposoby – ciągnął Raoul czując, że opuszczają go siły – aby zyskać względy młodej dziewczyny...

- To mężczyzna musi być łotrem, a dziewczyna idiotką... o to ci chodzi Raoulu?

- Krystyno!

- Ramolu, dlaczego jednak potępiasz człowieka, którego nigdy nie widziałeś, którego nie znasz?

- Znam przynajmniej jego imię, które tak ukrywasz przede mną. Twój Anioł Muzyki ma na imię Erik...

- Kto ci powiedział?

- Ty!

- Ja?!

- A tak, litując się nad nim wczoraj... Przyszłaś do swojej garderoby i powiedziałaś – biedny Erik! – ale był też biedny Raoul, który to słyszał.

- Już drugi raz podsłuchujesz pod drzwiami !

- Nie byłem za drzwiami!... Byłem w twojej umywalni...

- Nieszczęsny! – jęknęła niezwykle przerażona Daaé. – chcesz stracić życie?

- Być może!

Słowa te wymówił z taką rozpaczą i miłością, że łzy zabłysnęły w oczach Krystyny. Ujęła przyjaciela za rękę i patrząc mu serdecznie w oczy, rzekła:

- Musisz zapomnieć głos mężczyzny, nie wolno ci pamiętać nawet jego imienia... i nigdy więcej nie możesz próbować przeniknąć tajemnicy głosu mężczyzny...

- Czy to tak straszna tajemnica?

- Nie ma straszniejszej!

Zapadło milczenie. Raoul był zupełnie zgnębiony.

- Przyrzeknij, że nie zrobisz nic, aby się „dowiedzieć”... – nalegała Krystyna. – Przyrzeknij, że nie wejdiesz więcej do mojej garderoby, jeśli sama cię nie wezwę.

- A ty obiecujesz, że mnie do siebie wezwiesz?

- Obiecuje...

- Kiedy?

- Jutro...

- W takim razie przyrzekam...

Były to ostatnie słowa, jakie zamienili tego dnia. Raoul odszedł przeklinając Erika i obiecując sobie zachować cierpliwość...